Nr 7 (31)
ROK II

TYDZIEŃ

16. II. 1947 r.
Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



DZIŚ U POETÓW

WIERSZE JANA HUSZCZY, MARIANA PIECHALA, JANA ŚPIEWAKA

Film TYGODNIA

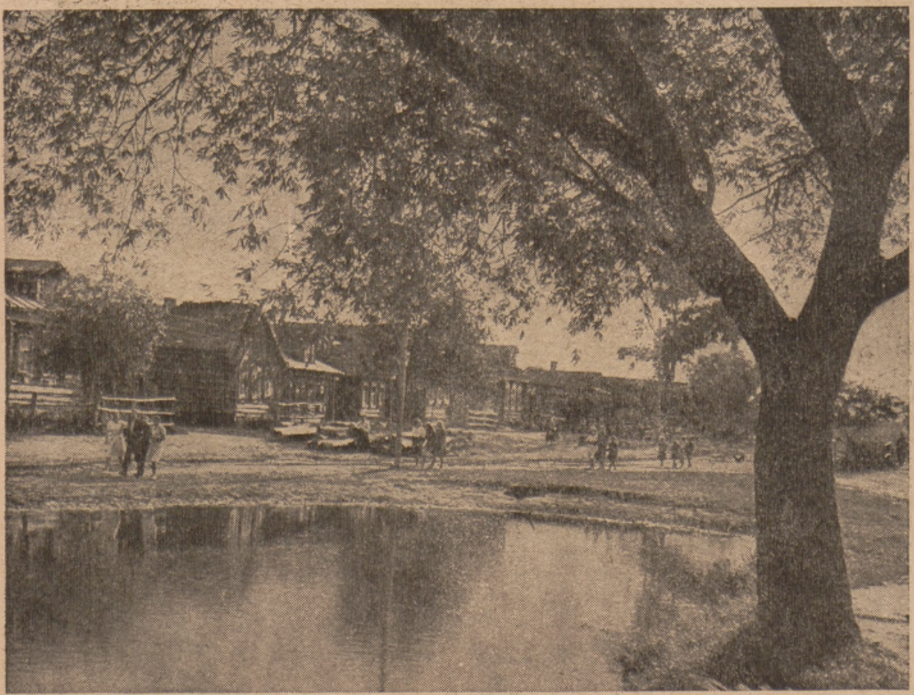
PREZYDENT BIERUT W DRODZE DO BELWEDERU



Nowoobrany prezydent przejeżdża ulicami Warszawy asystowany przez szwadron szwoleżerów.



Prezydent Bierut ułaskawił skazanych „w procesie Rzepeckiego": Jachimka, Rzepeckiego, Szczurka, Sanojcę i Malessę. (Film Polski)



Wieś jest bazą spółdzielczości radzieckiej. Na zdjęciu typowa wieś okręgu moskiewskiego z domkami w stylu rosyjskim, z szkolną drogą przez środek i sadzawką. (Fot. SIB)

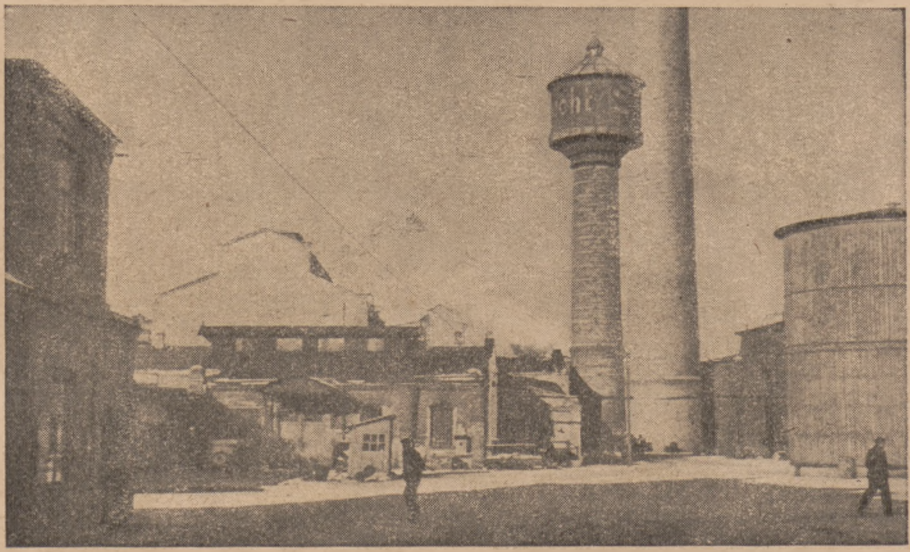


Józef Cyrankiewicz, premier Rządu Polskiego. (Film Polski)

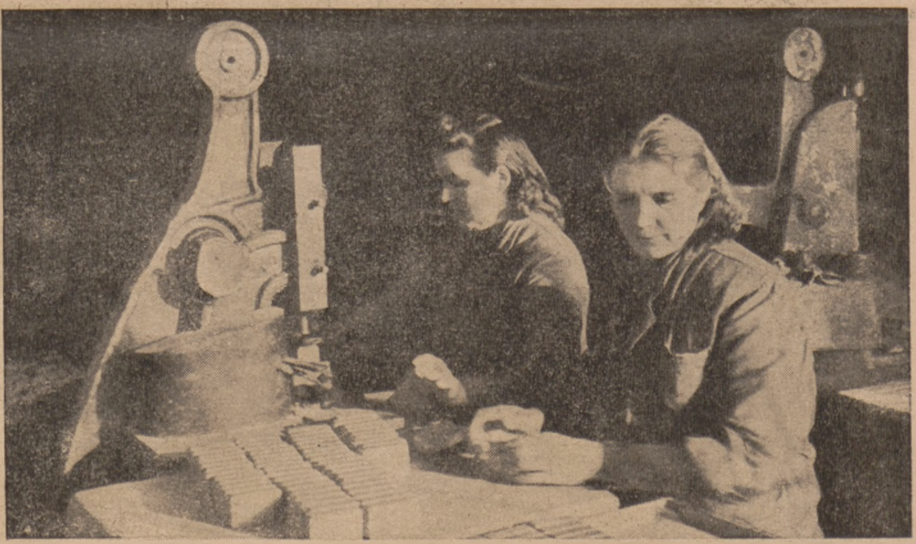
NASZA OKŁADKA



Kopalnia „Wujek" w Katowicach. Górnik wierci otwory w węglu w celu założenia materiału wybuchowego.



Dawna fabryka Schichta w Warszawie, przejęta przez Państwo, pracuje pełną parą. (Film Polski)



Sztancowanie mydeł toaletowych w fabryce Schichta (Film Polski)



Dawne „artele" rękodzielnicze przekształciły się w nowoczesne spółdzielnie pracy przemysłu ludowego, stanowiące prawdziwą gałąź spółdzielczości rękodzielniczej. Na zdjęciu spółdzielnia pracy na Bukowinie radzieckiej.

tak i nie

Expose nowego rządu



Na posiedzeniu Sejmu, w dniu 8-ym lutego, Premier Cyrankiewicz wygłosił exposé, w którym nakreślił program prac nowego rządu na najbliższy okres.

Pierwszą i niewzruszalną zasadą tych prac jest: „nic nie uronić i nic nie zatracić z dotychczasowego dorobku polskiej demokracji". A jednocześnie: „nigdy nie stać w miejscu, tylko rozważnie i planowo we wszystkich dziedzinach życia naszego maszerować naprzód".

Gdy piszę te słowa przyjaźnie świeci mi jasna lampa, a obok na stole leży gazeta z wiadomościami o wzroście wydobycia węgla na Śląsku, myślę sobie: „nie wszystko złoto, co angielskie"... Zwłaszcza jeśli chodzi o czarne złoto. Czasem, gdy kawałeczek węgla wpadnie do oka, może spowodować utratę wzroku, lub co najmniej niebezpieczne zapalenie...

Tak węgiel okazać się może bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem od starego, wojowniczego Churchilla.

Po omówieniu głównych zagadnień polityki zagranicznej, na czoło których wysuwa się kwestia ugruntowania naszych granic zachodnich, Premier przeszedł do spraw polityki wewnętrznej i gospodarczej.

Kładąc szczególny nacisk na realizację Planu Trzyletniego, rząd walczyć będzie nieubłaganie z wszelkim marnotrawstwem oraz przerostami administracyjnymi Zwalczać będzie również niebezpieczeństwo inflacji. Mamy bowiem wszystkie dane ku temu, by zachować mimo wszelkich trudności równowagę gospodarczą i finansową.

Analizując naszą sytuację aprowizacyjną, Premier stwierdził, iż w związku z zakończeniem działalności UNRRA, zagadnienie oszczędnego i racjonalnego gospodarowania naszymi zasobami żywnościowymi nabiera specjalnie wielkiego znaczenia. Rozsądna organizacja podaży artykułów rolnych ze wsi i przemysłowych na wieś, będzie jedną z naczelnych trosk rządu.

„Wielką, podstawową rolę w tym względzie rząd przypisuje spółdzielczości" — powiedział Premier Cyrankiewicz, podkreślając dwukrotnie w swym przemówieniu poparcie, jakiego rząd udzieli sektorowi spółdzielczemu.

Prośba o cudzysłów

Jest nam niezwykle miło, iż najwybitniejsi posłowie naszego Sejmu czytują pilnie „Tydzień" i że czerpią zeń materiały do swoich przemówień. Oto np. poseł Hochfeld, zabierając głos w dyskusji nad exposé premiera i polemizując z posłem Żuławskim, powiedział m. in.: „Nie można po pracowitym życiu działacza socjalistycznego obrażać się na historię i zamieniać komplet dzieł Marksa na podręcznik dla początkującego rolnika".

A w felietonie Avisa w „Tygodniu" z dnia 2 bm. czytaliśmy takie fikcyjne ogłoszenie: „Zamienię komplet Marksa oraz książek z zakresu dziejów socjalizmu w Polsce na podręcznik hodowli roślin doniczkowych dla początkujących rolników — Żuławski, Kraków".

Niezmiernie żałujemy, że poseł Hochfeld, cytując „Tydzień" z wysokiej trybuny, zapomniał powołać się na źródło dowcipu

Cytata z Daszyńskiego

Świetną cytatą natomiast poseł Hochfeld zakończył swoje przemówienie. Są to słowa Daszyńskiego, wygłoszone w Sejmie dnia 22 lutego 1919 r.

Daszyński wówczas mówił: „My chcemy Polski wolnej w związku wolnych ludów, będącej warsztatem olbrzymim, warsztatem pracy, ale pracy wolnej i uświadomionej... Ku tej Polsce naród polski zmierza, a my za nim".

Słuszną inicjatywę podjął jeden z komentatorów Polskiego Radia, proponując, aby słowa te wyryto na jednej ze ścian sejmowej sali posiedzeń. Mamy nadzieję, że posłowie tę inicjatywę podejmą.

Niegrzeczne telefony

Będąc przed wojną w Paryżu, pewnego dnia wysłałem do Brukseli depeszę. Po 12-tu godzinach otrzymałem pocztą pneumatyczną sekretnik, w którym dyrektor Urzędu Pocztowo-Telegraficznego zawiadamiał mnie, iż depesza moja nie mogła być doręczona adresatowi z powodu jego nieobecności. Zawiadomienie kończyło się zwrotem głoszącym, iż Urząd Pocztowo-Telegraficzny poleca nadal swoje usługi i przesyła wyrazy prawdziwego poważania. Tu następował podpis naczelnika Urzędu.

Ten paryski incydent przychodzi mi często na myśl, gdy mam do czynienia z którymś z naszych polskich urzędów. Poczta francuska odniosła się do mnie tak, jak odnieść się powinno przedsiębiorstwo do swego klienta. W Polsce, niestety, praktyka urzędów traktuje obywateli przeważnie jak podsądnych, a nie jak klientów, którzy za otrzymywane usługi płacą pieniądze.

Ot, np. Waszawska Dyrekcja Telefonów. Minęło już wiele tygodni od czasu, gdy redakcja naszego pisma złożyła podanie o założenie aparatu telefonicznego. Wiemy, że Dyrekcja Telefonów ma duże trudności przy odbudowie sieci w Warszawie, ale posiada chyba papier i maszynistkę, ażeby do klienta napisać: „Potwierdzając odbiór złożonych formularzy zawiadamiamy, że prośba Panów uwzględniona będzie w takim i w takim terminie".

Drobna rzecz, a tak ważna.

Życzenia Spółdzielczości dla Prezydenta Bieruta



Fot. Film Polski

Dnia 9 lutego br. nowowybrany Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bolesław Bierut przyjmował w Belwederze życzenia od przedstawicieli instytucji i organizacji społecznych.

Pierwsza zgłosiła się i pierwsza była przyjęta delegacja ruchu spółdzielczego, złożona z członków prezydiów zarządów: Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P., „Społem", Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P., Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego i Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczych.

W imieniu spółdzielców, Jan Żerkowski, prezes Zarządu „Społem" wygłosił następujące przemówienie:

„Wszystkie centralne instytucje spółdzielcze przyszły złożyć życzenia nowowybranemu Obywatelowi Prezydentowi, aby na tym stanowisku pracował z korzyścią dla całej Rzeczypospolitej Polskiej.

„Spółdzielczość w ostatnich wyborach wzięła czynny udział: ponad 200 zebrań spółdzielczych w zakładach, fabrykach, przedsiębiorstwach: ponad 100 tys. ludzi zamanifestowało swe uczucia i stwierdziło, że spółdzielczość zerwała z dawnymi zasadami neutralności politycznej i prowadząc swoje agendy gospodarcze, jednocześnie daje swój wkład społeczny w tych momentach, kiedy decydują się losy Rzeczypospolitej Polskiej i jej struktura.

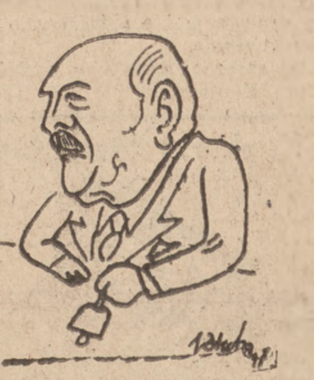
„Jesteśmy szczęśliwi, że zasady wypracowane razem z Obywatelem Prezydentem, kiedy byliśmy wspólnie w Związku Robotniczych Spółdzielni Spożywców, zwyciężyły w ruchu spółdzielczym i że obecnie one obowiązują, tak jak realizowane są postulaty ludu pracującego, zorganizowanego w organizacjach robotniczych i włościańskich. Jednocześnie chcę powiedzieć, że jesteśmy dumni, iż dawny nasz spółdzielca, z tego obozu Związku Robotniczych Spółdzielni, stał się pierwszym Obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej.

„W imieniu całego ruchu spółdzieczego życzę, aby Obywatel Prezydent szczęśliwie pracował dla dobra Rzeczypospolitej Polskiej".

Prezydent Bolesław Bierut odpowiedział:

„Dziękuję serdecznie Panom za złożone mi życzenia i jestem rad że spółdzielczość składa mi je pierwsza, ponieważ ze spółdzielczością były związane pierwsze lata mojej pracy społecznej. Spółdzielczość w Polsce ma doniosłe zadanie do spełnienia. Liczę na to, że rola jej będzie jeszcze bardziej wzrastać. Dziękuję za pokładane we mnie zaufanie i liczę, że wspólnymi siłami potrafimy dopomóc naszemu Narodowi i Polsce do osiągnięcia w jak najszybszym czase rozkwitu i tej roli, na jaką kraj nasz zasługuje wśród państw i narodów".

Sejmowe serdelki



Jak wiadomo na podstawie konstytucji teren sejmowy znajduje się pod wyłączną władzą jego Marszałka, którego organami wykonawczymi są urzędnicy sejmowi i straż marszałkowska. Ten przywilej eksterytorialności ma na celu zapewnienie posłom swobody wypowiadania się. Nie powinien być jednak wykorzystywany do innych celów, np. do jedzenia serdelków.

Szereg osób obecnych w bufecie sejmowym w czasie jednego z posiedzeń było zaskoczonych serdelkami, które w bufecie tym można było jeść dowolnie, podczas gdy w całej Warszawie poza terenem sejmowym obowiązywały przepisy o dniu bezmięsnym. Wynika z tego, iż jednym z najpilniejszych zadań marszałka Kowalskiego jest wydanie zarządzenia o rozciągnięciu na teren Sejmu przepisów obowiązujących w całym kraju. Jeśli bowiem Sejm stoi na straży praworządności, dobrze jest, gdy będzie jej przestrzegać i w rzeczach drobnych.

Okrucieństwa gorsze od hitlerowskich

Tenże prof. Hayek naraził się na oburzenie nawet licznych własnych rodaków, tak łaskawym okiem spoglądających ostatnio na biednych, dobrych Niemców. Zagalopowawszy się bowiem w obronie hitlerowców, ogłosił czarno na białym, że Austriacy słyszą codziennie od naocznych świadków o okrucieństwach, jakich Czesi i Polacy dopuszczają się na Niemcach, okrucieństwach gorszych od wszystkiego, co sami widzieli za czasów Hitlera.

Angielski uczony zapomina, że inaczej wygląda okrucieństwo oglądane, a inaczej odczuwane na własnej skórze. Austriacy nigdy okrucieństw hitlerowskich nie odczuwali, gdyż zbyt pochopnie oddali się pod opiekę Hitlera i służyli mu wiernie, aż do chwili jego upadku. Konferencja w Moskwie przyrzekła im niepodległość za cenę walki o własną wolność. Obecnie na konferencji w Londynie stwierdzono, że Austriacy niczym się do odzyskania swej niepodległości nie przyczynili, natomiast na wielu stanowiskach w krajach okupowanych bynajmniej w okrucieństwie rdzennym Niemcom nie ustępowali, jak to wykazał krakowski proces komendanta obozu w Płaszowie.

Kaprysy „Odrodzenia"

Wychodzącemu w Krakowie pismu „Odrodzenie" nie podoba się ustanowienie przez „Tydzień" nagrody za najlepszą książkę wydaną w latach 1945—46. Słynny pan Jaszcz z „Odrodzenia" pisze, że „Tydzień" skradł pomysł tej nagrody. Rzeczywiście zaś stało się tak, że ogłoszenie nagrody w „Tygodniu" w numerze z 5-go stycznia rb. zbiegło się z podobną ankietą ogłoszoną przez pismo krakowskie w numerze pod tą samą datą. Nie ma więc tu mowy o „kradzieży".

Sam pomysł głosowania czytelników i nagród literackich nie jest dziełem „Odrodzenia" i jego genialnych redaktorów, ale wywodzi się jeszcze ze staro-greckich igrzysk olimpijskich, a jego rodowód można prowadzić poprzez wieki aż do Grydzewskiego, redaktora „Wiadomości Lite-

tak i nie STRONA 4

rackich" w Polsce. Zastanawiające i oburzające w tym wszystkim jest stanowisko pisma, uważającego się za literackie, które, na zdrowy rozum biorąc, powinno popierać każdą inicjatywę przyczyniającą się do wyrażenia opinii publiczności w sprawach literackich i udzielenia wysokiej nagrody pieniężnej polskiemu pisarzowi. O kradzieży możnaby mówić tylko wówczas, gdybyśmy te 45 tysięcy złotych wyciągnęli Kurylukowi lub Jaszczowi z kieszeni. A ponieważ tak nie jest, prosilibyśmy, by „Odrodzenie" nie bawiło się w zabawną denucjację i przedrukowało to nasze sprostowanie.

W tej sprawie apelujemy osobiście do redaktora Kuryluka.

Konkursy literackie



Mistrzu, proszę przeczytać jeszcze moją książkę!

(„Carrefour" — Paryż)

Węgiel — przywódcą opozycji

Kryzys węglowy, pogłębiający się w Wielkiej Brytanii od dłuższego już czasu, osiągnął obecnie punkt szczytowy. Stało się to na skutek fali mrozów, uniemożliwiających transport — a zatem i dowóz paliwa do poszczególnych części kraju i ośrodków przemysłowych.

Na zarządzenie ministra opału, Shinwella, weszły w życie ograniczenia dopływu prądu elektrycznego, paraliżujące w dużej mierze normalne życie ludności. Około pięciu milionów robotników pozostaje w związku z tym bez pracy. W większej części kraju nie ma światła przez 5 godzin dziennie.

Jeden z członków rządu brytyjskiego, Sir Hartley Shawcross, oświadczył iż Wielka Brytania znalazła się wobec sytuacji równie poważnej, jak w latach 1939 — 1940. „Jeżeli rząd nie potrafi podnieść produkcji węgla, rząd Partii Pracy upadnie..." — powiedział Shawcross...

Odwrócenie pojęć

Sprawa amerykańskiego senatora Bilbo, którego wybór został zakwestionowany, nie została należycie wyświetlona. Bilbo stał się sławnym ze swoich wystąpień antymurzyńskich. Nie jest to zbyt wielkim grzechem w oczach tych kół, które w Ameryce „nadają ton". W czasie dochodzenia, jakie jednak miało miejsce, zeznania przesłuchiwanych i sterroryzowanych murzynów wywoływały tubalny śmiech zebranej na sali publiczności, składającej się z yankesów. Sprawa byłaby się zakończyła niczym gdyby nie przypadek, że Bilbo popełnił pewne nadużycia przy dostawach wojskowych. Przynajmniej zarzucali mu to senatorzy republikańscy. Bilbo bowiem należy do stronnictwa demokratycznego.

Nie stając bynajmniej w obronie jego osoby, należy wyrazić pewne wątpliwości, czy w innych warunkach również utraciłby mandat. Ale republikanie przygotowują się do wyborów prezydenckich i skwapliwie skorzystali z tej okazji zdyskredytowania swych przeciwników w opinii przyszłych wyborców.

Wokół Palestyny

Sytuacja w Palestynie nastręcza wiele okazji do niezadowolenia Anglików z postawy Amerykanów, którzy tolerują, a może nawet patrzą przychylnym okiem na finansowanie akcji terrorystycznej skrajnych nacjonalistów żydowskich przez Żydów amerykańskich.

Ostatnio Anglicy odmówili prawa wjazdu do Anglii niejakiemu prof. Smertenko, który jest vice-prezesem Tow. „Wolna Palestyna". Niedawno zaś ambasador brytyjski w Waszyngtonie Lord Inverchapel złożył formalny protest w związku z zakupieniem statku z amerykańskiego demobilu przez nielegalnych imigrantów żydowskich. Chodziło o były jacht „Cytera" sprzedany za 36.100 dolarów jakiejś firmie nowojorskiej która natychmiast przepisała statek do rejestru panamskiego i wysłała go na Morze Śródziemne.

Niedobrze jest, gdy dwaj kuzyni kochają się w tej samej nafcie.

tak i nie

Marzenia japońskie

Wychodzący w Tokio dziennik „Yomiuri Szimbun" zamieścił melancholijne rozważania na temat upadku fizycznego Japończyków, którzy podobno zbyt wcześnie się starzeją, nie dorównując ideałowi, jakim dla „Yomiuri Szimbun" jest Aleksander Tolstoj, jeżdżący swobodnie konno w wieku lat osiemdziesięciu. Aby tego dopiąć trzeba ludność dobrze odżywiać.

Japończycy nie wspominają o tym, jak osiągnąć ten cel. Za to generał Mc Arthur zwrócił się niedawno do rządu Stanów Zjednoczonych z memorandum, w którym wskazuje na konieczność zwiększenia produkcji przemysłu japońskiego. Widocznie przykład z Niemiec działa zaraźliwie. Warto zaznaczyć, że Max Lerner komentator radiowy jednej ze stacyj amerykańskich zwrócił niedawno uwagę gen. Mac Arthura, że nawet cesarz japoński nie jest już uważany za Boga.

Obrona Niemców

Znany angielski ekonomista, prof. Hayek, autor licznych dzieł z zakresu błogosławieństwa systemu kapitalistycznego, wystąpił ostatnio na łamach tygodnika londyńskiego „Spectator" z obroną hitlerowców niemieckich i austriackich.

Prof. Hayek dowodzi, że należy skończyć z masową denazifikacją, gdyż wywołuje ona efekt wprost przeciwny, mianowicie rozgoryczeni, a nawróceni już hitlerowcy wracają do ideologii narodowo - socjalistycznej. Jego zdaniem należy ukarać wyłącznie przywódców hitlerowskich, a pozostawić w spokoju setki tysięcy drobnych hitlerowców. Ich jedyną winą — twierdzi profesor — było, iż spełniali oni dobrze swój obowiązek patriotyczny.

Nie zamierzamy dyskutować na ten temat z profesorem angielskim, gdyż w sprawie tej mamy wyrobione własne zdanie, oparte nie na teoretycznych rozmyślaniach w Londynie, lecz na osobistych przeżyciach z czasów okupacji niemieckiej w Polsce. Możemy natomiast zapewnić autora, że bez jego cennej rady pod okupacją anglosaską w Niemczech dzieje się, jak tego sobie autor życzy: karze się wielkich zbrodniarzy, bodaj tylko największych, a mniejszych pozostawia się w spokoju. Według ostatnich wiadomości władze amerykańskie zamierzają zlikwidować obóz w Dachau w ten sposób, że chcą po prostu zwolnić z niego wszystkich osadzonych tam SS-manów.

Niemcy inaczej likwidowali obozy w Polsce, panie profesorze.

Ostrze na ostrze

O TWARDYCH LUDZIACH

Artykuł na miękko...

Gdyby — wzorem „Życia Warszawy" — rozpisać konkurs na najwymowniejsze tytuły do artykułów, ale już nie wśród czytelników, lecz wśród pism warszawskich, z pewnością wyszłaby z tych zawodów zwycięsko „Gazeta Ludowa". Taki np. sławetny tytuł jak „Dumny Hiszpan Franco odrzuca obcą interwencję" z pewnością przejdzie do historii dziennikarstwa polskiego, jako wzór lapidarnego wyrażenia całej głębi uczucia i współczucia w paru słowach.

Okazuje się jednak, iż „errare humanum est" — błądzenie jest rzeczą ludzką, przeto i znakomitym mistrzom tytułów wydarzyć się może niefortunne pociągnięcie pióra.

Takim właśnie nieprozumieniem z pewnością był szumny tytuł w jednym z niedawnych numerów: „Dziennikarze — ludzie twardzi"!

Zachęceni tą pochwałą, zaczynamy czytać, spodziewając się, iż dowiemy się bliższych szczegółów, w jaki sposób nasi dziennikarze w okresie okupacji twardo i nieustępliwie walczyli z wrogiem, jak ginęli za działalność publicystyczną z okresu przedwojennego i ciężkich lat wojennych, jak, codziennie narażając życie, drukowali i kolportowali prasę podziemną, brali udział w pracy konspiracyjnej i akcji terrorystycznej. Wiemy, jak ogromne straty poniosło dziennikarstwo polskie, ilu naszych kolegów zginęło w obozach i więzieniach. Zupełnie słusznie zatem należy się tym wielu spośród nas miano „twardych ludzi".

Cóż się jednak okazuje? Znany i ceniony kolega redaktor Dunin-Wąsowicz, autor wspomnianego artykułu, zupełnie co innego miał na myśli. Chodziło mu — o czym się dowiadujemy dopiero z podtytułu, usprawiedliwionego całkowicie treścią, która się pod nim znalazła — o to, jak radzili sobie w swoim życiu codziennym, w zarobkowaniu, koledzy-dziennikarze. Dowiadujemy się w telegraficznym skrócie długiej kroniki, kto, gdzie i czym handlował, pośredniczył w handlu domami, kelnerował, jaki i na jakiej ulicy miał sklepik.

Cenną jest zaletą umiejętność radzenia sobie w najcięższych warunkach i w obcych zawodach. Gdyby jednak to tylko wypełniało życie tych ludzi, tytuł „Dziennikarze — twardzi ludzie" należałoby niewątpliwie uzupełnić znakiem zapytania. Z pewnością większość cytowanych w artykule kol. Dunin-Wąsowicza, czym innym zasługuje na przymiotnik „twardzi" aniżeli... roznoszeniem baniek z mlekiem, wypiekaniem ciastek lub sprzedażą „twardych".

Z kroniki „Gazety Ludowej" wynikałoby bowiem, iż np. Stanisław Chudoba został rozstrzelany nie za swoją działalność konspiracyjną o której głucho w artykule, lecz za pracę biurową w RGO. Nasuwa się w rezultacie pytanie: dlaczego, za co zginęli z ręki Niemców ci wszyscy, o których wspomniane jest tylko, że już nie żyją — czyżby za ważenie kartofli i jarzyn, lub podawanie gościom befsztyków w restauracji?

Sądzimy, że nie to miał kol. Dunin-Wąsowicz na myśli. Po prostu w formie anegdotycznej chciał rzucić parę obrazków o codziennych, szarych troskach i kłopotach okupacyjnych. Tytuł mu się tylko trochę nie udał — konfrontując go z treścią, jakoś by to trochę za miękko o tych twardych ludziach wypadło...

Notujemy pierwszy ząb redakcyjny złamany na twardym orzechu. AVIS



rys. J. ŻEBROWSKI

Na procesie Fischera i tow., jako świadek zeznawał były „szef rządu" G. G. Bühler, który sam w więzieniu oczekuje na rozprawę.

O wspólną granicę Australii i Polski

Australijscy żołnierze należą do najlepszych na świecie. Rośli chłopcy, jak dębczaki, biją się niezwykle odważnie i na wesoło.

Na polu bitwy spotkali się z Polakami po raz pierwszy podczas oblężenia Tobruku i ze zdumieniem stwierdzili, że żołnierz polski, jeśli australijskiego nie przewyższał, to mu w żadnym razie nie ustępował. Pokochali za to serdecznie Polaków, pili z nimi na umór (a piją sławnie), zamieniali z nimi odznaki, czapki, pasy i co się dało. Wreszcie oświadczyli, że wspólna miłość wymaga wspólnych granic polsko - australijskich. I twierdzili zupełnie poważnie, że biją się przeciw Niemcom o tę wspólną granicę.

Belgowie okupują Niemcy

Przed kilkoma miesiącami wojska belgijskie objęły służbę okupacyjną na części terytorium Niemiec, znajdującym się pod władzą angielską. Wydawało się, że sympatyczni Belgowie będą bardzo radzi z tego, że przedstawiciele ich armii mają możność okupowania ziemi nieprzyjacielskiej. Tymczasem Belgowie nie są zadowoleni. Rozlegają się nawet skargi, że traktuje się ich zbytnio jako „wojska pomocnicze" pozbawione przywilejów przysługujących Anglikom. Mało tego, okazuje się, że W. Brytania, która ma poważny deficyt kosztów okupacji, przerzuciła wydatki na utrzymanie wojsk belgijskich na terenie Niemiec na rząd belgijski. Belgowie oczywiście nie cieszą się z tego, że muszą dopłacać do okupacji Niemiec.

Niepodległość Filipin

Filipiny i ich mieszkańcy wsławili się w czasie wojny na Dalekim Wschodzie swoim męstwem i Stany Zjednoczone zdecydowały się wypełnić swoje obietnice w sprawie udzielenia im całkowitej niepodległości. W wyniku szeregu aktów państwowych prezydentem suwerennych Filipin został przywódca miejscowy Roxas. Oto jak wygląda niepodległość jego państwa:

1) W ciągu 28 lat wolno obywatelom Stanów Zjednoczonych nabywać grunta, prowadzić przedsiębiorstwa i obejmować stanowiska publiczne na Filipinach,

2) Filipińczycy, którzy zawędrują do Stanów Zjednoczonych, mogą zostać tylko prostymi robotnikami,

3) Filipiny mogą dowolnie sprowadzać i wywozić towary, o ile przed tym wypełnią kontyngenty nałożone im przez umowy,

4) Jeżeli Filipińczykom się to nie podoba, nie otrzymają 450 milionów dolarów należnych im odszkodowań wojennych,

5) Aby Filipińczycy zgodzili się na to, pozostawiono na wyspach 79.000 żołnierzy, bazę morską i 78 baz wojskowych i lotniczych.

A. Folk

Wielka Brytania wobec Niemiec

Stosunek rządu i społeczeństwa angielskiego do Niemiec nie przestaje wprawiać nas — grzecznie mówiąc — w zakłopotanie. Rozumiemy dobrze, iż Anglicy mają inny kąt patrzenia na Niemcy, aniżeli my, którzyśmy wraz z innymi narodami środkowej Europy poczuli na sobie jarzmo niemieckiej niewoli. Ale mimo to zdajemy sobie sprawę, że nawet dla zwycięskiej Anglii, której ziemi nigdy nie deptał but niemieckiego żołnierza, problem, jak zapobiec trzeciemu atakowi ze strony Niemiec, powinien być problemem co najmniej tej samej wagi, co sprawa Indii Wschodnich.

W Wielkiej Brytanii — od czasu wybuchu drugiej wojny światowej — byli i są zwolennicy surowego i zwolennicy łagodnego traktowania pobitej militarnie Rzeszy. Pierwsi chcieli i chcą co najmniej ograniczyć produkcję przemysłową Niemiec, a nawet zmienić ich strukturę gospodarczą; drudzy bronili i bronią Rzeszy przed zbyt jednostronnym jej rozbrojeniem gospodarczym. Tamci uważali i uważają, że Niemcom trzeba wyrwać zęby, żeby nie kąsali! Ci byli i są zdania, iż wystarczy te zęby — zaplombować.

Reprezentantem pierwszej grupy, a kto wie, czy nie jej wodzem, był i jest lord Vansittart, b. podsekretarz w Foreign Office. W czasie wojny został przez Goebbelsa pasowany na wroga nr 1 Wielkiej Rzeszy Adolfa Hitlera, której i którego był istotnie zaciekłym przeciwnikiem. Ba! Goebbels każdy odruch niechęci wobec Niemiec kazał nazywać „vansitartyzmem".

Zwolennicy lorda i on sam oddawna widzą w narodzie niemieckim złe skłonności i dlatego pragną naród ten unieszkodliwić raz na zawsze. Uważają oni hitleryzm za wykwit ducha niemieckiego, niezmiennego od stuleci, który doprowadził do egzaltacji typ państwa militarnego, i wprowadził — a raczej umocnił — wiarę w bezwzględność środków i w wojnę, jako zjawisko korzystne i uszlachetniające. Stoją oni wreszcie na stanowisku, że historia nie usprawiedliwia przypuszczenia, iż łagodne i wielkoduszne warunki skłonią Niemcy do pokojowego współdziałania z sąsiadami.

Odmienne poglądy wyznają ludzie, którzy wprawdzie nie mieli i nie mają nadal określonego przywódcy, ale za to są nader liczni i wpływowi. Rekrutują się oni — jeśli pominąć ugrupowania o podłożu czysto... materialistycznym — przede wszystkim ze środowisk radykalnej inteligencji oraz kół kościelnych.

Radykali typu Laski'ego, Brailsforda i Bevana (a w Stanach Zjednoczonych — Lippmanna) uważali Traktat Wersalski za krzywdzący dla Niemiec i za źródło nastrojów odwetowych, jak gdyby zapominając, że od chwili podpisania tegoż Traktatu Lloyd George i inni sternicy polityki angielskiej czynili wszystko, by go osłabić i pójść na rękę nie państwom zwycięskim, jak Francja i Polska, lecz właśnie Rzeszy Niemieckiej. Radykalna inteligencja odrzucała również tezę o nieuleczalności Niemców, uważając ją za wątpliwą pod względem naukowym. Przecież inne narody też są agresywne — twierdzono. I podkreślano z całym naciskiem, że Niemcy są najliczebniejszym, najlepiej zorganizowanym i przemysłowo najbogaciej wyposażonym narodem Środkowej i Wschodniej Europy, co by ich pasowało na przywódców kontynentu europejskiego. Nie wierzono wreszcie w skuteczne rozbrojenie agresora w obecnej epoce wojen zmechanizowanych.

Kierownicy kościołów, zarówno ewangelickich, jak i katolickiego, stali początkowo (a i dzisiaj znowu stoją) na gruncie przebaczania Niemcom. Pod wpływem ... bombardowania Anglii zmienili nieco swój pogląd, zaczęli bowiem żądać... porozumienia z Niemcami (po wojnie). Twierdzili i nadal twierdzą, że nie można na stałe narzucać jednemu państwu odmiennego sposobu życia od reszty państw kontynentu. Jaka szkoda, że nie głoszono takich haseł między 1795 a 1918 r., kiedy to naród polski zmuszono do życia w separacji od innych narodów, za to w zależności od trzech obcych racji stanu!...

W miarę jak toczyła się wojna poglądy Anglików na sprawę Niemiec ulegały pewnej — ale nie radykalnej — ewolucji. Bomby eskadr Goeringa dopomogły temu procesowi, jednak trzeba było jeszcze bomb latających V^1 i V^2, żeby miłość bliźniego... niemieckiego ustąpiła miejsca poglądom, opartym o ostrożność i nieufność wobec Rzeszy. W 1943 r., a więc już po El Alamein i po Stalingradzie, Labour Party wystąpiła z żądaniem rozbrojenia gospodarczego Niemiec po wojnie. Partia pracy wyobrażała sobie to rozbrojenie w postaci likwidacji przemysłu samolotowego i ograniczenia przemysłu ciężkiego i chemicznego; domagała się ona również przeniesienia części przemysłu ciężkiego Niemiec do państw zwycięskich. Ponadto partia przewidywała kompensaty finansowe dla zwycięzców.

W tymże roku Churchill oświadczył, że Niemcy powinny być rozbrojone na stałe, a dobra przez nich zrabowane — zwrócone. O ukaraniu niemieckiego agresora głucho. O zmianie politycznej i gospodarczej struktury — również. Nic przeto dziwnego, że gabinet angielski stanął na stanowisku, że nie ma mowy o całkowitym zniszczeniu ekonomicznej i przemysłowej potęgi Niemiec, bo to pociągałoby za sobą konieczność istnienia wielkiej armii okupacyjnej (argument ten jest dzisiaj naczelnym leit-motiv'em angielskiej racji stanu) i ciągłe wnikanie w gospodarkę niemiecką. Wobec Niemiec postanowiono wówczas (1943 r.) stosować siłę polityczną czyli rozbrojenie, ale poza tym starać się o współpracę Niemiec. Już wówczas, kiedy przeciwnik dawał się jeszcze mocno we znaki Anglikom, rząd angielski traktował go jako sojusznika w rozgrywkach ze Związkiem Radzieckim.

O ile Anglicy (prócz grupy Vansittarta) dość łagodnie wypowiadali się na temat: „co zrobić z Niemcami", zadowalając się w gruncie rzeczy ich rozbrojeniem (Traktat Wersalski mówił też o rozbrojeniu i wiemy, co z tego wynikło), o tyle Amerykanie byli bardziej radykalni w stosunku do załatwienia problemu niemieckiego. Rząd amerykański nieoficjalnie szedł na koncepcję oddania zniszczonym krajom Europy niemieckich przemysłów wytwórczych, służących zbrojeniom w sposób czy to bezpośredni, czy to nawet pośredni. A prezydent Roosevelt w mowie z 15-go października 1944 r. zapowiedział, że Niemcom nie pozostawi się „ani jednego elementu potęgi militarnej lub potencjalnej polityki militarnej", Niemcy zaś będą musieli „zapracować na powrót do rodziny narodów miłujących pokój".

Wizyta Schumachera w Londynie i liczne wypowiedzi prasy angielskiej wskazują, że lord Vansittart i jego grupa niewiele mają dziś do powiedzenia. Głos Vansittarta jest głosem wołającego na puszczy, jego pamflety, artykuły i książki — przemową do głuchych. Kościoły angielskie, radykalni intelektualiści angielscy i — kapitał angielski mają odmienny punkt widzenia, zgodny z tradycjonalizmem polityki angielskiej, polityki „równowagi" i zwalczania Rosji nawet przy pomocy Niemiec. Niemiec, które o mały włos nie uczyniły z Wielkiej Brytanii jeszcze jednego okręgu („Gau"), zarządzanego przez twardego gauleitera, który by się nie oglądał — jak wiemy — ani na koszty okupacji, ani na cierpienia chrześcijańskiego narodu.

U podłoża emocji leży jednak — przede wszystkim w Anglii — gra interesów gospodarczych. Intelektualiści i duchowni wiedzą dobrze, iż Niemcy zawsze były w okresie pokoju dobrym odbiorcą i dostawcą przemysłu i handlu brytyjskiego. Powinni oni jednak pamiętać i o tym, że hitleryzm był tylko brutalnym wyrazem niemieckiego imperializmu gospodarczego i że, gdyby mu się udał podbój Związku Radzieckiego, Rzesza zyskałaby tak potężne źródła zaopatrzenia, iż drwiłaby z konkurencji angielskiej na jakimkolwiek polu. Imperializm gospodarczy, wspomagany przez „furror teutonica" i pogardę hitleryzmu dla człowieka, był wyznawany nie tylko przez ludzi w brunatnych lub czarnych koszulach, lecz również przez katolickie centrum i czerwoną socjal-demokrację. I tak samo zapowiada się dzisiaj, kiedy socjal-demokrata Schumacher i politycy Labour Party i przedstawiciele angielskich kościołów zdają się ku naszemu zdumieniu posiadać wspólny język — język obrony wspólnych (tym razem nie poróżnionych) interesów gospodarczych. Dlatego rozumiemy, dlaczego Schumacherowi złożono przyrzeczenie, iż zaniechany zostanie demontaż przemysłu niemieckiego.

A potem nadejdą kredyty....

... Już idą...

„DAKOTA" — samolot śmierci



Na lotnisku londyńskim płonie samolot. To jedna z serii katastrof samolotów typu „Dakota".

1-GO MARCA

upływa ostateczny termin zgłaszania kandydatur do nagrody »Tygodnia«

Jak informowaliśmy w numerze poprzednim, na życzenie naszych Czytelników, ostateczny termin zgłaszania kandydatur do nagrody „Tygodnia" na najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945 — 46 przedłużyliśmy do dnia 1 marca rb.

Przypominamy, iż zasady głosowania są następujące:

1. Głosować można na wszystkie książki polskie wydane na terenie Rzeczypospolitej w latach 1945—1946. Wyłączone są tłumaczenia z języków obcych i wznowienia książek wydanych przed 1-ym września 1939 r.
2. Można natomiast głosować na książkę, będącą wznowieniem dzieła, którego pierwsze wydanie ukazało się na emigracji lub też jako druk podziemny w latach 1939—1945.
3. Każdy z Czytelników ma prawo przesłać tylko jedną kartę do głosowania, wypełniając ją co najwyżej pięcioma tytułami.
4. Głosy członków Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień" i prenumeratorów „Tygodnia" liczą się podwójnie.
5. Dziesięć kandydatur, które w głosowaniu Czytelników uzyskają największą ilość głosów, będzie przedstawionych Sądowi celem wyboru jednej książki, której autorowi przyznana będzie nagroda.
6. Gdyby Sąd Konkursowy uznał, że wśród zgłoszonych kandydatur nie ma — według jego opinii — godnej otrzymania nagrody ma on prawo wyznaczoną sumę 100.000 zł podzielić między jedną z książek, wysuniętych przez czytelników, i książkę, która nie uzyskała większości w głosowaniu lub też w ogóle nie została w głosowaniu wysunięta.
7. Czytelnicy, biorący udział w głosowaniu, których opinia co do przyznania nagrody zgodna będzie z ostateczną decyzją Sądu, otrzymają premie książkowe z autografami autorów.

W skład Sądu Konkursowego wchodzą:

Jako przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki — wiceminister *Leon Kruczkowski*.

Jako przedstawiciele Związku Zawodowego Literatów Polskich — *Jarosław Iwaszkiewicz* i *Juliusz Żuławski*.

Jako przedstawiciel Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień" — *Jerzy Wyszomirski*.

Z ramienia redakcji „Tygodnia" — *Zbigniew Mitzner*.

NAGRODA „TYGODNIA"

za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945-1946

Zgłaszam następujące kandydatury:

1. Autor ....
   Tytuł książki ....
2. Autor ....
   Tytuł książki ....
3. Autor ....
   Tytuł książki ....
4. Autor ....
   Tytuł książki ....
5. Autor ....
   Tytuł książki ....

Imię i nazwisko głosującego ....

Adres ....

Czy jest Pan(i) prenumeratorem „Tygodnia"

Czy jest Pan(i) członkiem Spółdzielni Wyd. „Tydzień".

Załączony kupon należy czytelnie wypełnić i przesłać pod adresem redakcji „Tygodnia": Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

Zagadnienie Chlestakowa

Kim jest Chlestakow*), bohater „Rewizora", która to komedia święci triumfy w Poznaniu i w Katowicach? Dokoła postaci Chlestakowa rozgorzała dyskusja pomiędzy reżyserem „Rewizora" — Karolem Borowskim, a sprawozdawcą teatralnym „Głosu Wielkopolskiego", dyskusja świadcząca, że Chlestakow jest postacią intrygującą i tak dalece złożoną psychologicznie że można ją interpretować rozmaicie i rozumieć biegunowo przeciwnie. Karol Borowski np. stoi na stanowisku, że: „Chlestakowa stwarzają okoliczności: jest on bardziej poetą kłamstwa, aniżeli blagierem, a już z całą pewnością nie jest ani naciągaczem, ani wyzyskiwaczem". W tym zapewne duchu i stylu Borowski wyreżyserował tę postać. Zgoła inaczej ujmuje Chlestakowa recenzent „Głosu Wielkopolskiego", p. T. Kraszewski. Na podstawie tekstu komedii stwierdza on niezbicie, że Chlestakow jest „zawodowym karciarzem", że „nabiera hotelarza na kredyt i próbuje nabrać miejscowych kupców", że — w rezultacie — „chowa do kieszeni sporą sumkę pieniędzy". Jasne jest tedy, że nie może być „poetą kłamstwa", lecz właśnie wyzyskiwaczem po prostu oszustem. Chodzi tylko o to — zauważa przenikliwie p. Kraszewski — czy w swoim działaniu Chlestakow jest „pasywny" czy też „aktywny".

„Czy niosą go tylko wypadki, czy też on steruje biegiem wypadków?" Innymi słowy czy oszustwa Chlestakowa rodzą się z warunków w jakich się on znalazł, z łatwej możliwości dopuszczania się ich w tym środowisku, w jakim się obraca, czy też jest to tak wielki spryciarz, że potrafi wszystkich — mówiąc trywialnie — wykantować? P. Kraszewski przechyla się do drugiej koncepcji Chlestakowa: widzi w nim „aktywność".

Zdaje się, że, jeśli p. Kraszewski wykazał wielką intuicję w postawieniu kwestii. to jednak pomylił się w jej rozwiązaniu. Chlestakow jest „pasywny": tworzą go wypadki, i nie tylko wypadki, lecz środowisko w ogóle, grunt, na jakim wyrósł, atmosfera, klimat. Chlestakow jest produktem warunków, podobnie jak u nas, powiedzmy dla przykładu, wytworem pewnego klimatu był Nikodem Dyzma, który w powieści Mostowicza zrobił tak zawrotną karierę.

Mimo to Chlestakow jest oszustem i nabieraczem, bo te sprawy pozostają ze sobą w pragmatycznym związku: dlaczego, powiedzmy, nie kraść, jeśli wszyscy dokoła kradną? Nie ukradnę ja, ukradnie kto inny: wobec tak „dramatycznych" w pewnym sensie pytań, wobec takiego „konfliktu" stanąć może niekiedy, w pewnym środowisku, w pewnych warunkach, w pewnym klimacie duchowym, nawet najuczciwszy człowiek.

Weźmy dla ilustracji tego choćby „problem" szabrownictwa, przeżyty już przez nas. Dlaczego mogą szabrować inni, nawet ludzie na eksponowanych stanowiskach, którzy powinni by świecić przykładem, a nie mogę szabrować ja? Dlatego też Gogol, analizując w jednym ze swoich listów Chlestakowa i chcąc wskazać na całą syntetyczność, powszechność i wieczystość tej postaci, mówi z filozoficznym smutkiem: każdy z nas, choć raz w życiu, choćby na chwilę, bywał lub może stać się Chlestakowem: od prostaczka poczynając. na mężu stanu („gosudarstwiennyj muż") kończąc. Chlestakow jest nieśmiertelny, pod tym wszelako warunkiem, że życie i jego procesy stworzą mu odpowiednie pole działania. Gdzie nie ma sprzyjającego gruntu ,nie ma Chlestakowa.

O gruncie, na jakim wyrasta Chlestakow, mamy w komedii bardzo dokładną wskazówkę. Jest nią rozpaczliwy krzyk Horodniczego w momencie, gdy mistyfikacja się kończy, gdy wychodzi na jaw, że Chlestakow nie jest rewizorem, i skutkiem tego wszyscy będą musieli odpokutować za swe sprawki. Horodniczy krzyczy — w uniesieniu, we wściekłości, w strachu. w poczuciu, że dał się ośmieszyć i wodzić za nos: „Nic nie widzę dokoła siebie; widzę tylko jakieś świńskie ryje („swinyje ryła") zamiast twarzy — nic więcej". Jest to pełen duchowej męki okrzyk samego Gogola, bo tylko męka może podyktować tak brutalne i ordynarne słowa wrażliwemu poecie. W innym miejscu zawołał Gogol nie mniej brutalnie: nikogo tu nie ma porządnego — jeden prokurator to porządny człowiek, ale i on świnia („odin prokuror poriadocznyj czełowiek, no i on swinja"). Rzeczywiście, któż są ci wszyscy ludzie, którzy otaczają Horodniczego, kim jest sam Horodniczy, czym jest środowisko, gdzie rozbłyśnie „wielkość" Chlestakowa? Wszyscy oni, jeden w drugiego — to „urod", jak mówi Gogol, czyli szkaradzieństwo, ohyda życia, brud jego, małość i nicość.

Język rosyjski ma pewną mądrą sentencję — rodzaj przysłowia: „srieda zajedajet", to znaczy, że środowisko, otoczenie, świat w którym człowiek bytuje, zjada go, zgryza, wchłania, przystosowuje do siebie. Problem Chlestakowa — to problem środowiska, problem wzajemnego stosunku jednostki i gromady. Albo jednostka wiedzie walkę ze środowiskiem (nędznym) o ideały, jak to dzieje się w dramatach Ibsena albo u Żeromskiego (np. dr Judym w „Ludziach bezdomnych"); albo dla interesu, dla wygody i z powodu własnej małości upodabnia się środowisku. Na tematy środowiska pisał głęboko Dostojewski, który rozumiał jego niszczący wpływ, i jak mało kto, rozumiał genialność w tym względzie obrazów Gogola. Dostojewski również w swym „Dzienniku pisarza" jest autorem rozprawy „Coś niecoś o kłamstwie". która może być pomocna do wytłumaczenia sobie „kłamstwa" czy też „blagi" Chlestakowa — szerzej mówiąc, tego, co Rosjanie nazywają „chlestakowszczyna", a o czym wzmiankowałem w poprzednim felietonie.

Wszelako środowisko, w którym się pleni Chlestakow — symbol, Chlestakow — synteza małości ludzkiej, to nie tylko konkretne miasteczko rosyjskie pierwszej połowy XIX wieku, miasteczko z jego stosuneczkami. To środowisko pojmuje Gogol nieskończenie bardziej szeroko i głęboko. Co powiecie na to — pisze w komentarzu do „Rewizora" — jeśli takie miasteczko istnieje we wnętrzu każdego z nas, jeśli to jest nasze duchowe miasteczko? W ten sposób prawdziwy rewizor, który się zjawia na końcu komedii — to nasze obudzone sumienie. I komedia, jak często z komediami bywa, komedia, której głównym bohaterem jest — jak powiada sam Gogol — Śmiech, przez wielką literę pisany, staje się filozofią życia i kończy się starogreckim „katharsis" czyli oczyszczeniem się moralnym widza. Z czego by się chciał widz oczyścić? Z tego samego, co i Wyspiańskiego dręczyło w „Weselu": z pospolitości, która skrzeczy, tłoczy, włazi w usta, uszy, oczy.

JERZY WYSZOMIRSKI

---

*) Por. felieton „Napój ze źródła" w N-rze 6/30 „Tygodnia" z dnia 9 lutego.

ZWYCIĘSTWO ŻOŁNIERZA — KOMPROMITACJA WODZA

Dalsze rewelacje o bitwie pod Monte Cassino

Od chwili powrotu do Polski pierwszych żołnierzy polskich z Włoch zaczęły się rozlegać głuche pogłosy, że bitwa pod Monte Cassino, która pochłonęła tyle ofiar z szeregów najdzielniejszych, była niepotrzebna. Że konieczna ona była tylko dla kariery ambitnego wodza, Andersa. Żołnierz spełnił swój obowiązek, płacąc haracz krwi, którego można było uniknąć.

Korzystając z powrotu do Polski wybitnego oficera b. II Korpusu, od którego uzyskaliśmy już sensacyjne informacje o karierze Andersa, Redakcja zwróciła się do niego również z prośbą o naświetlenie bitwy pod Monte Cassino. Wypowiedzi oficera są nie mniej sensacyjne.

NIE BYŁO ATAKU W PLANIE

Już przy poprzednich próbach zdobycia wzgórza Monte Cassino ze słynnym opactwem, mieszczącym się na szczycie, alianci natrafili na niebywale silny opór Niemców, ufortyfikowanych w podziemiach klasztoru. Ataki oddziałów amerykańskich, nowozelandzkich i hinduskich zostały przez Niemców krwawo odparte mimo zbombardowania budynków opactwa z lądu i z powietrza. Niemcy siedzieli w ruinach i nie można ich było z nich wyrzucić.

Wyciągając naukę z tych niepowodzeń, sztab sojuszniczy, przygotowując plan ofensywy na Rzym, przewidzianej na maj 1944 r., przewidział uderzenie amerykańskie przez wzgórza na lewo i uderzenie brytyjskie na prawo od Monte Cassino. Oba ramiona cęgów miały się następnie zewrzeć poza Monte Cassino i o ile obrońcy klasztoru nie byliby się wycofali dość wcześnie, musieliby się dostać do niewoli, a broniona przez nich klasztorna twierdza otworzyłaby automatycznie drogę do Rzymu.

Ówczesny premier brytyjski Winston Churchill miał zwyczaj odwiedzania frontu na krótko przed ofensywą. Uczynił podobnie przed ofensywą majową 1944 r. Korzystając z okazji, Anders zaprosił Churchilla do siedziby II Korpusu.

Czy miał już gotowy plan, czy też powstał on właśnie podczas wizyty Churchilla — nie wiadomo. W każdym razie przedłożył mu plan ataku polskiego na Monte Cassino. Czego nie mogli dokonać sojusznicy — tego dokona żołnierz polski.

Churchill odpowiedział jednak grzecznie, że przygotowanie planu operacyjnego należy do sztabu sojuszniczego, że jest on już zresztą przygotowany we wszystkich szczegółach, armie znajdują się w przededniu ofensywy i niemożliwe są większe zmiany. Jeśli jednak Anders zamierza zaproponować jakieś zmiany taktyczne na podległym sobie odcinku, to może je zaproponować dowódcy Ósmej Armii brytyjskiej, generałowi Montgomery (obecnie marszałkowi i szefowi sztabu imperialnego).

Anders udał się do dowódcy Ósmej Armii i na odbytej konferencji gen. Montgomery włączył do gotowego planu atak polski na Monte Cassino i przyległe wzgórza. Ta zmiana taktyczna bardzo mu odpowiadała, oszczędzała bowiem żołnierza brytyjskiego, a w razie powodzenia złamania oporu niemieckiego na górze klasztornej mogła od razu otworzyć zamkniętą drogę na Rzym.

I rozpoczęło się pospieszne przesuwanie oddziałów polskich na wyznaczony odcinek pod Monte Cassino.

O KROK OD KOMPROMITACJI

Gdy w oznaczonym dniu zagrały armaty i wszelka inna broń śmiercionośna, oddziały polskie ruszyły do ataku z pozycyj wyjściowych. Atak posuwał się dość skutecznie na okoliczne wzgórza, ale wszelkie próby wdarcia się na wzgórze klasztorne załamywały się w morderczym ogniu obrońców niemieckich, wyborowej dywizji spadochronowej. Ogień najcięższej artylerii nie mógł złamać ich oporu, gdyż korzystając z systemu podziemnych krużganków klasztornych, należycie przez saperów niemieckich umocnionych, chronili się przed ogniem w podziemia, a zajmowali pozycje natychmiast po ścichnięciu ognia lub w razie alarmu pozostawionych posterunków.

Żołnierz polski walczył od świtu do nocy z niezwykłym bohaterstwem i z bezprzykładną pogardą śmierci. Trup padał gęsto. Już pola minowe stanowiły silną zaporę, ale żołnierze rwali przez nie niepamiętni niebezpieczeństwa. Pod stałym obstrzałem Niemców ranni mar li na stoku przeklętego wzgórza, gdyż nie było możności znieść ich do punktów opatrunkowych. Oficerowie dokazywali cudów, by przerwać się ze swymi żołnierzami przez linię ognia nieprzyjacielskiego — daremnie. Padali równie gęsto, jak żołnierze. Od pułkowników do podporuczników.

Krok za krokiem zdobywano teren, ale na noc znużone i wyczerpane oddziały musiały zejść z czołowych stanowisk.

Nikt nawet nie przypuszczał, że żołnierz polski mógłby nie zdobyć najtrudniejszej nawet do zdobycia pozycji. Chciał odpłacić Niemcom klęskę wrześniową, chciał pomścić wszystkie okrucieństwa, dokonywane przez Niemców w Polsce, chciał przez Monte Cassino otworzyć sobie drogę przez Rzym do Polski — a na tej drodze stały ruiny rozbitego klasztoru, przez które nie mógł się przerwać.

W sztabie Andersa panowała konsternacja. Liczono jeszcze, że na skutek oskrzydlającego ataku polskiego na innym odcinku Niemcy porzucą pozycje, albo osłabnie ich wola oporu.

Ale i drugi dzień zeszedł na beznadziejnych atakach, choć ruch oskrzydlający rozwijał się pomyślnie.

Wszystkie oddziały polskie, atakujące bezpośrednio Monte Cassino były pod koniec drugiego dnia zdziesiątkowane. Oficjalna liczba zabitych wynosiła już ponad 5 tysięcy. Liczba rannych dwakroć tyle.

Do dyspozycji „wodza" pozostał jedyny nietknięty batalion rezerwowy. Był to batalion 17-ty.

Anders zwołał w noc po drugim dniu ofensywy odprawę oficerską i stwierdził niepowodzenie akcji. Nie taił, że grozi kompromitacja, że oddziały są zdziesiątkowane i że do skuteczności akcji tego ostatniego batalionu zależy sława żołnierza polskiego. Nie dodał: lub kompromitacja wodza.

Nastąpiło omówienie z oficerami 17-go batalionu wszystkich szczegółów akcji dnia następnego.

„JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA"

Bezpośredni atak przeprowadzić miała kompania kapitana Leśkiewicza, w cywilu inżyniera - leśnika.

O świcie kpt. Leśkiewicz przerzucił szczęśliwie swą kompanię z niewielkimi stratami przez pola minowe i wdarł się stokiem na płaskowyż, na którym w pierwszym szeregu sterczały ze skały trzy silnie umocnione bunkry niemieckie. Mimo silnego ognia maszynowego skierowanego przez kompanię na bunkry Niemcy odpowiadali tak gęstym ogniem, że atak utknął i o dalszym nie było mowy. Amunicja zaczęła się wyczerpywać. Jedna radiostacja przenośna była rozbita, przez drugą, rezerwową kpt. Leśkiewicz zaczął wzywać amunicji. Daremnie. Całe pole znajdowało się pod silnym ogniem artylerii niemieckiej i moździerzy, a po le minowe oddzielało walczącą kompanię od swoich.

W takiej sytuacji dowódca musiał cofnąć kompanię o kilkadziesiąt metrów, by oddalić ją choć cokolwiek spod bezpośredniego obstrzału wroga. Przylegli do ziemi z uczuciem bezsilności i beznadziejności. Ani amunicja, ani pomoc nie nadchodziły. Trup leżał gęsto na stoku. Kompania zaczęła tęp-

(Dokończenie na str. 14-ej).



Moździerze ognia! — Fot. A. Chruściel

FAKTY I CYFRY MONTE CASSINO

W przyszłym numerze „Tygodnia" zamieścimy jeden jeszcze artykuł, oświetlający w nowy sposób przebieg bitwy pod Monte Cassino.

Będzie to artykuł Kazimierza Zenona Skierskiego, który bawił kilka miesięcy we Włoszech celem zbadania terenu bitwy i jej historii.



U POETÓW

Jan Śpiewak

* * *

A przecież wreszcie się wypali
dno naszych dni. Zaginie sztylet.
I z żwiru tęcza się wychyli
jak mróz, co cieniem kruszy fale.

I zwiędnie zapach lat i stli się
jak w kruchy proch się zmienia drewno.
W głaz skamienieje to, co dzisiaj
odpryskiem burzy bywa gniewnej.

I głaz wydrąża: wiatr i czerw.
Zagaśnie piasku niema rzeka.
I pozostanie tylko nerw,
nagi, oślepły nerw człowieka.

Marian Piechal

Triumf

(19.I.1945)

Piorun w mglistej zamieci, pękła obręcz mrozu,
jakby ktoś w noc zimową nagle otwarł drzwi:
w smudze brzasku trup konia z nogami w przestworzu,
śnieg łaje podpalony płomykami krwi.

Klawiszami szprych armat grające organy
znaczą ślady na śniegu podobne do nut:
z nich powstaje już głośny i niepokonany
hymn, co z klęską przemocy na wieki się splótł,

świt gromadził w obłokach, niespodziane zorze
z dna nocy wyprowadzał, jak krew z ciemnych żył,
nim jeszcze ziemie śląskie, Prusy i Pomorze
ogniem kulomiotowym z resztą kraju szył.

W jego rytmie toczyła się Warta i Odra,
i Wisła, i Dniepr z Wołgą, i Dunaj, i Ren —
aż wzeszedł Dzień nad Nocą, jak pogoda modra,
jak nad jawą koszmarną błogoczynny sen!

Ostatnia pieśń

(z Lwa Tołstoja)

„Wyschła ziemia na mojej mogile,
wypłakała mnie matka rodzona —
dni i nocy minęło już tyle,
dawność darnią porosła zieloną."

„Wyschły łzy pod powieką mej siostry,
krzyk jej w pustkę milczeniem się rozwiał —
z bólu ojca — brwi siwe wyrosły,
z grobu mego — rozchodnik i podbiał.

„Lecz ty jeden, o starszy mój bracie,
nie zapomnisz mej krzywdy i śmierci,
mścić się będziesz, nie łkać, po mej stracie,
póki grób nie przywali ci piersi."

„Śmierci kula przyniosła mi ciebie
i złożyła w mym sercu przebitym,
do wieczności mnie teraz kołebie
ziemia, końskim zdeptana kopytem."

„Wiem: jest mądrość, która nic nie zmienia,
mądrość wszystkich tych, co martwych grzebią:
ciała nasze pochłonie ziemia,
czyny nasze zapisze niebo."

Jan Huszcza

Pożegnanie młodości

Ta sama jakby ścieżka śliska
wiedzie nad pełen ciszy staw,
znów nać zaległa kartofliska
i ślad na rosie późnych traw.

Październik liście przeinacza
świecących obok srebrnie brzóz,
by piękniej było twej rozpaczy,
by szept jej wzmagał się i rósł,

bo już w tych dymach i kolorach,
które od lat tak dobrze znasz,
nim padnie chłodny cień wieczoru,
— młodości cudzej błyśnie twarz.

Leopold Lewin

Książę Józef

Kiedy noc rumakowi kopyta rozwiąże,
Na przejażdżkę za miasto udaje się Książę —
Podkowa o kamienne płyty ostro zgrzyta —
To Książę zrywa konia i rusza z kopyta
Spiąwszy go ostrogami, z brawurą grzywiastą
Pędzi ulicami wybrzeża przez Wisłę za miasto.

Tam na wysokim brzegu puszcza konia stępa —
Szeleści tajemniczo nadwiślańska kępa,
Rzeka połyska światła smugami i mrokiem,
Niebo płynie księżycem, gwiazdami, obłokiem,
Od czarnego pułapu odrywa się gwiazda
I rozbudzone pisklę odzywa się z gniazda...

Książę zawraca konia i lekkim galopem
Przybliża się ku miastu wiślanym okopem,
Koń kopytami iskry wykrzesza z kamienia —
Już Książę jest na moście swojego imienia
I rwie naprzód w rytmicznym, triumfalnym huku,
I huczy echo kopyt po uśpionym mieście —
I krzesze błyskawice na warszawskim bruku.
Nowy Świat, Dom Staszica, Krakowskie Przedmieście —
Rumak zziajany parska i dzwonią podkowy,
I już widać Kolumnę, i już Plac Zamkowy,
I Książę przebiegając strażnicę odwachu,
Osadza konia w dworze Pałacu pod Blachą.

W salonie na stoliku — niedopite szklanki,
W sypialni — woń subtelna ostatniej kochanki;
Książę siada przy oknie i patrzy, wsłuchany,
Z Łazienek i Saskiego jak płyną kasztany;
Pod oknem słyszy tupot i dudnienie maszyn,
I wspomina Dubienkę odległą i Raszyn,
I tupot nóg się zgęszcza — to jego żołnierze
Defilują przed Wodzem, idą na Wybrzeże.
I dźwięczy głos komendy, i słychać wiwaty,
I przez okno wpadają do sypialni kwiaty...

A nazajutrz na Placu pomnika podnóże
W powodzi kwiatów, białe i czerwone róże...

MADONNA PRZYDROŻNA

Gdyby Tadeusz nie był wówczas tak śmiertelnie znużony, gdyby wprost nie odchodził od zmysłów ze zmęczenia, zastanowiłby się nad tym, co oznacza ów potok maszyn rwący na zachód. I być może, że idąc za głosem swej płomiennej natury, sam dałby się również porwać na zachód.

Ale w tej chwili jego rozpalona głowa mogła myśleć tylko o jednym: żeby nie przystanąć. Zatrzymanie się — to śmierć. Szedł więc naprzód, krew sączyła się z utrudzonych stóp i w ciągu jednej chwili zastygała w sopelki lodowe, ściągające boleśnie skórę.

W pewnym momencie zdawało mu się, że idzie, idzie tak już wiele dni po tej nieskończonej śnieżnej drodze, tuż obok gorących, parskających maszyn. A potem znów zdawało mu się, że wyszedł dopiero przed chwilą, i że ma jeszcze mnóstwo sił w zapasie, i że nic go nie boli, nic mu nie dokucza — aż raptem spostrzegł, że nie idzie wcalę, lecz leży, wyciąga się rozkosznie na śnieżnej pierzynce. Zrywał się i szedł dalej.

Nagle przejmował go lęk: a może nie porusza się wcale, może stoi na miejscu, a samochody idą mu na spotkanie. Długo i uważnie wpatrywał się w swoje nogi, aż w końcu stwierdził, że poruszają się jednak. Po prostu nie odczuwał ruchu własnych nóg.

Nie dowierzając wciąż jeszcze sobie, oglądał się za siebie i spostrzegał ślady, świeże ślady na śniegu, ślady własnych stóp. Uspakajał się wówczas i kroczył dalej — na wschód, do domu.

IV.

Wreszcie zatrzymał go patrol. Byli to polscy żołnierze. Jeden z nich przeglądał dokumenty Tadeusza, drugi zaś podtrzymywał go, żeby nie upadł.

— Zamarzniesz, bracie, na śmierć, chodź z nami do stróżówki, ogrzejesz się. Pytasz czy daleko do S.? Otóż tu właśnie! — i żołnierz podniósł szlaban.

— Jestem uratowany... — wyszeptał Tadeusz.

Znalazł się prawie przed domem ojcowskim. Ta myśl dodała mu siły. Szarpnął bramę. Stare żelazo odpowiedziało przyjaznym chrobotem. Tadeusz stukał długo. Na dziedzińcu słychać było piski. Ojciec pewno bije wieprze — lubił zawsze robić to po nocy. Potem zaszczekał pies.

— Topsi, Topsi! — zawołał go Tadeusz.

Zdawało mu się, że krzyczy na cały głos — w rzeczywistości wydobywał się z jego krtani zaledwie szept. Znów zaczął walić w bramę. Nie było to łatwe, ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Musiał odpoczywać ,nabierać sił, i znów zabierał się do stukania.

Nareszcie usłyszał na dziedzińcu kroki. I głos — basowy, miękki, ugrzeczniony...

Rozpłakał się z radości. Ledwo poruszając opuchniętym językiem, zawołał:

— Tatusiu, to ja, twój Tadeusz!...

Ale zamiast słów ze ściśniętego gardła wydobyło się ledwo jakieś chrypienie.

Za bramą ojciec chrząknął grzecznie i bardzo uprzejmie wymamrotał, że dopiero wczoraj miał zaszczyt wnieść pewną sumę na cele patriotyczne, na co otrzymał formalne pokwitowanie, i że na konferencje finansowe panowie terroryści powinni przychodzić raczej w stanie trzeźwym, i że przecież jutro można także pogadać, a tymczasem dobrej nocy, panowie terroryści, kłaniam się nisko — i być może, że tam za bramą w mroku nocy, ojciec rzeczywiście ukłonił się nisko.

Potem rozległy się kroki — kroki oddalały się wraz z uprzejmym krząkaniem.

Tadeusz długo jeszcze walił w bramę. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze chwila — a zginie. Zebrał ostatek siły i powlókł się na drugą stronę ulicy. Pamiętał, że stał tam dom jego bogatej ciotki, pani Kazimiery Borkowskiej. Wszyscy wiedzieli o tym, że stara panna całe noce spędza na modlitwach. W domu miała własną kapliczkę i stale mieszkał u niej jakiś ksiądz spowiednik, zazwyczaj niezbyt stary.

Do furtki tego domu już nie musiał Tadeusz stukać tak długo: odezwano się cudownie szybko. Furtka co prawda nie otwarła się, lecz na ganku dwa głosy, męski i kobiecy, zaśpiewały: **„Te Deum laudamus"** anielsko czyste i pełne słodyczy.

Tadeusz wpadł w furię: szarpnął furtkę, wymyślał, ryczał, chrypiał. W odpowiedzi słyszał: **„Te Deum laudamus"** — i nic więcej.

Powlókł się dalej ulicą i stukał do wszystkich bram bez wyboru. Wszyscy, którzy tu mieszkali, byli to krewni lub przyjaciele. Oto dom pana Łowejko, ojcowskiego kompana. A ten domek w ogrodzie należy do pana Pęskiego; staruszek o rumianej jak u dziecka, wiecznie rozpromienionej twarzy, okolonej srebrzystą brodą, jest właścicielem sklepu z dewocjonaliami, w którym zawsze tak przyjemnie pachniało od uschniętych cyprysów...

A to dom kapitana Marciniaka, starego legionisty — po obydwóch stronach drzwi wciąż jeszcze te same lwy z alabastru, o wyślizganych grzbietach, jako że zawsze na nich siadali okrakiem uczniacy, a pan kapitan wystawiał przez lufcik czerwoną gębę z długimi staropolskimi wąsami i wymyślał ordynarnymi wyrazami, których uczyli się od niego sztubacy.

Napisał

LEW SŁAWIN

Autoryzowany przekład:
Maria Wisłowska
Ilustrowała dla „Tygodnia":
Irena Kuczborska

Odcinek drugi i ostatni.

A oto dom pana Zwolińskiego — Tadeusz kochał się kiedyś w jego najmłodszej córce Zosi i wyznał jej miłość na balu sylwestrowym w gimnazjum Sióstr Urszulanek. Jeszcze dalej — domy Brzezińskich, Sieńkowskich, Skibińskich, Taczalskich...

Przeważnie nikt nie odpowiadał na stukanie Tadeusza. W niektórych domach zapewniano go zza zamkniętej bramy, że jakieś pieniądze zostaną dostarczone nazajutrz. W innych wygrażano, że poszczują go psami...



Zamiast słów ze ściśniętego gardła wydobyło się ledwo jakieś chrypienie.

V.

Wiatr przycichł. I śnieg przestał padać. Nawet księżyc ukazał się na niebie. Naraz wszystko wokół rozbłysło jak w baśni. I oczom Tadeusza ukazało się niebywałe widowisko, jakiego nikt w Europie nie oglądał przez ostatnie pięć lat: wśród nocy oślepiająco zabłysły okna w wielkim domu, stojącym nieopodal. Lśniące kwadraty światła padły na śnieg. I zaszumiało muzyką — skrzypce i flety, cicha i czuła melodia.

Szaleńczy domysł oświecił Tadeusza: wojna skończona, Niemcy się poddali! Widocznie to bal z okazji zakończenia wojny. Tadeusz powiódł oczyma dokoła: w innych domach wciąż było ciemno. Widocznie tam jeszcze nic nie wiedzą.

Postanowił zbliżyć się do jaśniejącego domu. Osłabły, raz po raz padał w śnieg, w brudny śnieg, stłamszony kołami frontowych samochodów. Potem znów wstawał i uparcie szedł w kierunku odświętnie jarzącego się domu



Tadeusz poczuł, jak dwie ręce podnoszą go i niosą tak lekko, tak lekko.

Ale gdy znalazł się na połowie jezdni, światło w oknach raptem zgasło. Przed Tadeuszem wznosiły się ciemne, zakopcone ruiny, z zapadającym się dachem, z rozwalonymi ścianami. Ach, to sprawka księżyca! To księżyc nalał poprzez zerwany dach cały dom, aż po brzegi czarodziejskim blaskiem. I muzyka także już nie dźwięczała, tylko wiatr miotał się śród osypujących się murów. Tadeusz zadarł głowę i drżącą ręką pogroził księżycowi. A księżyc skoczył w obłok, znów sypnęło śniegiem, znów świat stał się mglisty i mętny.

W półmroku Tadeusz dostrzegł jednakże świętą figurę. Stała nad nim nieruchoma, czerniała na tle nieba — gdyż niebo nawet wśród najciemniejszej nocy jest zawsze choć odrobinę jaśniejsze od ziemi. Zarysy figury wydawały się Tadeuszowi jakoś znajome: spadziste ramiona, nieco na bok pochylona głowa, kaskada ciężkich fałd, szata falująca wokół postaci.

Tadeusz poznał: Madonna! **Madonna Viatoria**, orędowniczka pielgrzymów, błogosławiona opiekunka krzyżujących się dróg!

Od dzieciństwa przywykł Tadeusz widzieć Ją na tym samym miejscu. Sprzyjała mu niegdyś w swej boskiej dobroci. Bez wysiłku wymadlał u Jej stóp zwycięstwa w bójkach ulicznych z chłopakami i hojne podarki od rodziców na imieniny. Ona z ochotą kryła jego chłopięce grzechy: kradzież wianka kiełbasy z ojcowskiej masarni, celne wystrzały z floweru, dzielnie powybijane szyby w sąsiedzkich mieszkaniach....

W późniejszych czasach, gdy Tadeusz podrósł, wzgardził swoją wiarą. A może jednak Madonna nie zapomniała o nim? Ani nie padł po drodze, ani też nie skosiła go kula faszystowska, nie zatłukły na śmierć niemieckie pałki w obozie — dobrnął w końcu do rodzinnego miasteczka. Widocznie tu dopiero skończyła się opieka Wszechmocnej. Przed samym domem ojcowskim, już na jego progu wypadnie mu umierać.

Zlodowaciałą piersią z trudem łykał powietrze. Przysunął się do podnóżka Panienki. Przypadł do Jej stóp. Zaczął się modlić. Nie były to wyuczone z katechizmu pacierze. Nie, modlił się własnymi słowami tak jak w dzieciństwie, kiedy wierzył żarliwie:

— Pamiętasz mnie, Przenajświętsza? To ja, Twój Tadeusz. Widzisz, powróciłem. Oni mnie nie poznali. Aleś Ty mnie poznała. Nie puścili mnie do siebie, nie użyczyli swego ciepła. Ale Ty możesz mnie ogrzać ogniem niebiańskim! A jeżeli nie trzeba, żebym żył, niechaj umrę tu, u Twoich stóp, u Twoich świętych nóg. Wybacz mi, Królowo Niebieska! Nic Ci nie przyniosłem. Nie mam nic, przynoszę Ci jedno co posiadam: życie własne. Zostało mi z niego niewiele, ot kruszyna. Weź ją... .

Tak bełkotał, przypadając wargami do nóg Madonny Przydrożnej wedle obyczaju pątników, udających się w dalekie pielgrzymki.

Nagle poczuł, że stopy Matki Boskiej drgnęły. Ruszyły się, jak gdyby próbowały uwolnić się od uścisku Tadeusza.

Z zabobonnym lękiem podniósł głowę.

I spostrzegł cud: statua wolniutko pochylała się nad nim.

Przerażenie ogarnęło Tadeusza. „Może już umarłem?..."

Ale wszystko dokoła było takie zwykłe, codzienne. Niemożliwe, żeby na tamtym świecie był taki sam brudny śnieg na drodze, i żeby w powietrzu pachniało benzyną, a z domu naprzeciwko dobiegał świński kwik. „Nie, ja żyję!..." Łzy uniesienia polały się z oczu Tadeusza i w tej że samej chwili zastygły na rzęsach w lodowate sopelki.

(Ciąg dalszy na stronie 10-ej)



Tak bełkotał przypadając wargami do nóg Madonny Przydrożnej wedle obyczajów pątników, udających się w dalekie pielgrzymki.

A cud trwał. Madonna rozpostarła swój kamienny płaszcz i Tadeusz poczuł, jak dwie ręce, pełne nieziemskiej siły, podnoszą go i niosą tak lekko, tak lekko!.... Wydawało mu się, że na skrzydłach szybuje nad światem. Wrota ojcowskiego domu otwarły się przed statuą, rzekłbyś, posiada do nich klucz...

Tadeusz znalazł się w dużym jasnym pokoju. Rozejrzał się — i poznał, że to jego dawny dziecinny pokój. Posąg przybliżał się ku niemu płynnymi ruchami, jakby nie dotykał ziemi. Osobliwe to uczucie: widzieć Madonnę śród zwykłych codziennych przedmiotów, śród mebli, taboretów, miednic... Była jak żywa, wydawać by się mogło, że krew płynie pod delikatną skórą. I tylko złota aureola nad jej głową przypominała, że jest święta. Jeszcze inne istoty krążyły po pokoju — snać orszak aniołów, stanowiących jej seraficzną świtę. Bóstwa rozmawiały melodyjnymi głosami w języku, którego Tadeusz nie rozumiał — co wydało mu się całkiem naturalne, bo skądże on, niegodny śmiertelnik, miałby rozumieć mowę niebian?

Tadeusz zbudził się na drugi dzień — i ujrzał zebraną wokół swego łóżka całą rodzinę. Doktór Jan Kopacz, ze zmarszczonymi znacząco brwiami, macał mu puls. W pokoju pełno było krewnych i przyjaciół. Wszyscy z drżeniem wyczekiwali jego przebudzenia. Nikt nie wiedział i nikt nie rozumiał, jakim sposobem Tadeusz znalazł się w domu.

I nie było nawet o to kogo pytać — gdyż fizylierki, zakwaterowane w tym pokoju, musiały nocą nagle wyruszyć na front, nawet nie zdążyły zawiadomić gospodarzy domu. Był to niezapomniany dzień 14 stycznia 1945 roku, kiedy to Pierwszy Białoruski Front ruszył w wielkiej ofensywie przez Polskę na Odrę.

Pan Adam ujrzał, że Tadeusz otworzył oczy — i zalał się łzami. Wszyscy rzucili się ku wezgłowiu łóżka. Słabym głosem opowiedział Tadeusz swoją epopeę. Gdy wspomniał, że nieznajomy żołnierz Czerwonej Armii podarował mu buty, król kiełbas zawołał wzruszony że da na mszę na intencję zacnego nieznajomego. Opis, jak to Tadeusz na próżno dobijał się do bramy wywołał w audytorium nowe potoki łez.

— Stary bałwan ze mnie! — wołał pan Adam, bijąc się w piersi. — Ale powiedz mi, syneczku kochany, kto ci wreszcie otworzył bramę?...

Twarz Tadeusza drgnęła. W pokoju panowała cisza.
— Ona... — wyszeptał wreszcie Tadeusz i wyciągnął rękę, wskazując na okno.

Wszyscy spojrzeli w okno: ujrzeli statuę Madonny Przydrożnej, stojącą na skrzyżowaniu dróg. Była taka sama jak zawsze. Śnieg lśnił jak rozsypany cukier na lekko pochylonej głowie, a bezgrzeszne ptaszęta, przebierając nóżkami, zostawiły na nim czarne krzyżyki swych śladów. Tylko zmieniło się jedno. Madonna była sama. Po raz pierwszy od wielu dni nie stała tuż obok figury rumianolica kapral Sapożnikowa w brezentowej pelerynie, dzielnie wymachująca sygnałowymi chorągiewkami.

Wówczas Tadeusz opowiedział rodzinie o cudzie, który mu się zdarzył. Słuchali jak urzeczeni. Przez kilka chwil panowała w pokoju cisza pełna czci i uwielbienia.

Pan Adam oznajmił, że cud w rodzinie Borkowskich to nie przypadek, lecz nagroda za cnoty, z których najgodniejszą jest patriotyzm jej członków i rzetelność firmy. Pani Kazimiera oświadczyła, że wiadomość o tym cudzie musi dotrzeć do Stolicy Apostolskiej. Spowiednik jej wyraził opinię, że kuria rzymska niewątpliwie uzna autentyczność cudu, gwoli chwale Pańskiej, zbawieniu dusz i rozkwitowi wiary katolickiej.

Staruszek pan Pęski ślubował, że zamówi u najzdolniejszego snycerza miniaturowe posążki Madonny Przydrożnej i każe je wyrzeźbić w kości słoniowej (której zapasy odkładał do lepszych czasów).

Jeden tylko doktór Jan Kopacz nie zabierał głosu. Wreszcie odkalsznął i mruknął:

— A mnie się wydaje, panowie, że ja mógłbym to wyjaśnić bardziej, że tak powiem....

Ale ugodzony spojrzeniem króla kiełbas momentalnie ucichł i jakby się zgarbił. Potem skoczył do stołowego, opróżnił duszkiem dwa kieliszki czystej i pobiegł na drugie piętro, gdzie mieszkaliśmy obaj z majorem D., aby podzielić się z „sowieckimi towarzyszami" swym sceptycyzmem prawdziwego wolnomyśliciela.

Nie zastał nas wszakże. Myśmy także odmaszerowali nocą wraz z nacierającą armią. Dnia 17-go stycznia tankietką przeprawiliśmy się przez lód wiślany i wjechaliśmy do wyzwolonej Warszawy.

Na Placu Saskim, wdrapawszy się na kupkę cegieł, stała kapral Sapożnikowa i z właściwą sobie swobodą manewrowała zgęszczonym, skomplikowanym ruchem kołowym.

Widywaliśmy ją wszędzie, na całym szlaku ofensywy — w Łodzi, w Kutnie, w płonącym Poznaniu. I później, wiosną — za Odrą, wśród nieopisanych ruin Kistrynia, we Frankfurcie, w Landsbergu, w Maltzdorf. Aż w końcu po raz ostatni mignęła nam jej sylwetka dnia 2 maja w Berlinie.

Silnie zbudowana, posągowa, wynosiła się na Aleksanderplatz w Berlinie — tłumy obskurnych Niemców stłoczonych na chodnikach nie odrywały pełnych szacunku oczu od jej władczych rąk, których rozkazujące ruchy umiejętnie rozsyłały fale frontowych samochodów wzdłuż zbombardowanych ulic germańskiej stolicy. — A w tym samym czasie o sto kilometrów stąd, pod niskim i wiecznie szarym niebem grupka obywateli, zgromadzona wokół figury Madonny Przydrożnej, dziękowała za cud, jaki spadł na zacną firmę kiełbaśnika.

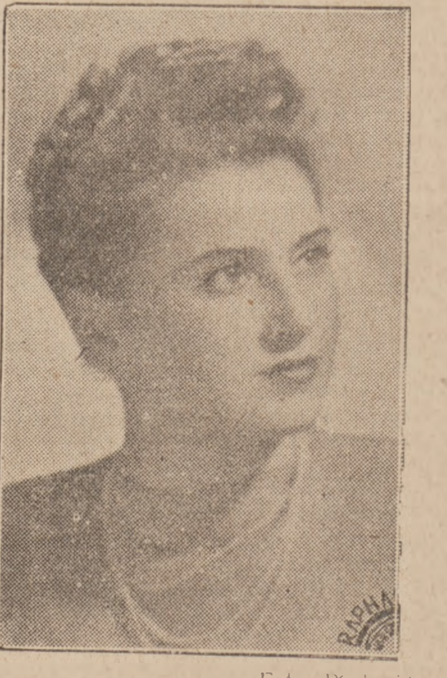


NOWE GWIAZDY
naszych scen



Fot. Hermanowicz

IRENA KWIATKOWSKA gra z wielkim humorem i dowcipem w doskonałym skeczu K. I. Gałczyńskiego „Hermenegilda Kociubińska" w krakowskim teatrze „Siedmiu Kotów". Kwiatkowską pamiętamy także sprzed wojny jako wielki talent dramatyczny i charakterystyczny



Fot. „Raphael"

Krystyna Brenoczy (sopran liryczny) kreuje partię Zofii w „Halce" Moniuszki, wystawionej przez teatr Muzyczno-Operowy w Warszawie

DLA dużych dzieci — B·A·J·E·C·Z·K·I — DLA małych dzieci

Przygody Zagłoby

Znowu w Warszawie!

(rys. Jerzy Zaruba)



— Popatrz no, Feluś, na tego faceta.

— Faktycznie, garniturek ma niekonieczny. Pewno ciuchy z amerykańskich darów.



— Mosanie, podwieziesz mnie waść do ratusza?

— Czemu nie. Ale pan szanowny to musi być chyba repatriant. Mogie wiedzieć z jakiej strefy?

— Z niebiańskiej. Widzisz waść okrutnie nudno ciągiem w niebie siedzieć, to i wyrwałem się cichcem naszą demokrację obejrzeć.



— Nie za wiela się Warszawa od moich czasów zmieniła. Wprawdzie wehikuły jakoweś dziwacznie ulicami jeżdżą, ale kamieniczki jak były, tak i są — parterowe...



— Czołem waszmości! Zagłoba jestem, herbu Wczele. Po prawdzie to z tym herbem zwykłe theatrum, robiłem bom z przekonań demokrata był zawsze. Tuszę sobie, że waść o mnie czytałeś?

— Jeżeli obywatel w milicji notowany, to musiałem czytać.

— Co tam w milicji! Przez samego Sienkiewicza byłem notowany, mosanie. Prowadź-że mnie teraz na ratusz, niech się dowiedzą, jaki to sławny Polak do Warszawy zawitał.



— Obywatel Zagłoba twierdzi, że jest Polakiem. A gdzie Kennkarta?

— Nie mam, mości urzędniku.

— To źle. W trzecim roku niepodległości należy legitymować się Kennkartą!

(Dalszy ciąg za tydzień.)

Janusz Odrowąż

TRZECIA STRONA

Z jednej strony sytuacja jest wspaniała.

Bo:

Zaproponowano mi posadę wiceministra Kultury i Sztuki. Poza tym, żebym miał z czego żyć dostanę koncesję na prowadzenie wytwórni pompek rowerowych w Leżajsku.

Wreszcie — niezależnie od tego — otrzymam jutro przydział dwóch kuponów angielskiej wełny po 415 zł metr.

Nie miałbym się czym martwić.

Ale sytuacja przedstawia się gorzej z tej drugiej strony.

Bo:

Obiecałem Józiowi czteropokojowe mieszkanie na Mokotowie. Dziś mamy się spotkać i pójść do prezesa Nadzwyczajnej Komisji Mieszkaniowej. (Kto u diabła jest tym prezesem?)

Dalej — muszę pomóc teściowej Józia, która pisze wiersze i chce je zamieszczać w „Odrodzeniu".

Przyrzekłem uroczyście.

Na koniec zaprosiłem na jutrzejszy obiad dwóch sympatycznych kominiarzy. Nie wiem, czy żona się ucieszy, bo mają przyjść wprost z pracy, w strojach nieco smolących. I u nas dopiero spotkają się ze swymi żonami i dziećmi.

Tak.

Całe szczęście, że istnieje jeszcze „trzecia strona".

Wygląda ona tak:

Mimo solennych przysiąg i gwarancyj w rodzaju „słowo honoru", oraz „jak Boga kocham", ani ja, ani Józio nie musimy swych zobowiązań dotrzymywać. Kominiarze też z pewnością nie przyjdą.

Jak to dobrze, że po wytrzeźwieniu nie traktujemy poważnie tego, co się mówiło przy kieliszku!

Strach pomyśleć, co by było, gdyby było inaczej.

Humor włoski



— Przestań szczekać. Tak hałasujesz, że pracować nie można.

O tatusiu

(rys. Kazimierz Grus)



Kto to taki, powiedz, dziatwo!
Schumacherek, zgadnąć łatwo.



Tu widzicie zaś tatusia
Tego Stusiumacherusia.



Nasz kolega — demokrata
jest zadziwiony, tak jak tata.



Lecz przy gościach — coś strasznego!
Pluje na tatusia swego!



Bardzo brzydko, lubę dziatki
wypierać się ojca, matki.



Zwłaszcza, gdy dziecina płocha
w głębi serca tatę kocha.

Józef Niemiec

PLANOWA GOSPODARKA SPÓŁDZIELCZOŚCI RADZIECKIEJ

(Dokończenie.)

Gdy plan dla całej spółdzielczości zostanie zatwierdzony, wówczas Bank Państwowy Związku Radzieckiego, mający swe placówki w całym kraju, nawet w rejonach, uruchamia potrzebne kredyty dla spółdzielni i ich związków. Obrót towarowy między spółdzielniami a związkiem jest bezgotówkowy, a mianowicie spółdzielnie wpłacają targi do banku dostawy zaś rachunki na dostarczony towar przesyłają do banku, który dokonuje rozliczeń.

Ogniwa hurtowego handlu spółdzielczego muszą posiadać 10% własnych środków obrotowych przy zakupie towarów, by mogły uzyskać potrzebne pozostałe 90% kredytów.

Na skup i magazynowanie produktów rolnych dla państwa oraz surowców pochodzenia rolniczego dla fabryk związki spółdzielcze i spółdzielnie otrzymują jednak pełny kredyt, nie absorbując własnych kapitałów. Bank Państwowy liczy za koszty kredytu 4% w stosunku rocznym, jednak stopa procentowa może się podnieść, jeśli termin nie zostanie dotrzymany, nawet do 6%. Spółdzielczość radziecka dąży wszak że do oparcia się na własnych środkach obrotowych. Statut spółdzielni bowiem przewiduje, że 50% nadwyżki bilansowej przeznacza się na fundusz podstawowy (u nas społeczny).

Plan dla całego systemu spółdzielczego przewidywał na 1946 rok przy obrocie detalicznym stopę kosztów handlowych na 7%, a nadwyżkę netto na 2,4%. Czysta nadwyżka w hurcie osiągnęła ½% od obrotu.

Po zamknięciu roku obrachunkowego walne zebranie dokonuje podziału nadwyżki bilansowej w sposób określony przez statut, mianowicie:

20% dla członków w stosunku do wniesionych udziałów,

10% na związek rejonowy (na inwestycje służące do obsługi spółdzielni — chłodnie, piekarnie, magazyny oraz na koszty aparatu instrukcyjno-kontrolnego),

50% na fundusz podstawowy, własny, służący do dalszego rozwoju spółdzielni,

20% na kształcenie pracowników, działalność kulturalno - oświatową wśród członków oraz na premie dla pracowników i zarządu.

Podatku obrotowego spółdzielnie nie płacą, natomiast płaciły w czasie wojny podatek dochodowy od nadwyżki bilansowej

do 100 tys. rubli		30%
300 „	„	35%
powyżej 300 „	„	45%

Forma podatku dochodowego była zrozumiała przy tym, że plan gospodarki spółdzielni jest zatwierdzony, a w nim stopa kosztów, liczba pracowników, ogólna suma płac itp. Ostatnio, by zachęcić do dobrych rezultatów gospodarczych, do wypracowywania nadwyżek, rząd uchwalił podatek dochodowy w wysokości tylko 25% bez względu na wysokość nadwyżki.

Potężny rozwój spółdzielczości radzieckiej charakteryzują najlepiej cyfry. Radziecka spółdzielczość spożywców stoi dziś na pierwszym miejscu w świecie. Do spółdzielni spożywców na wsi należy 35.817 tys. członków. Spółdzielni wiejskich jest 26.498, rejonowych (większych) 481, miejskich 112. Hurtowni (związków) rejonowych jest 3651, obwodowych i republikańskich 87. Wszystkie te spółdzielnie posiadają razem 115.309 stałych sklepów detalicznych oraz 9.861 sklepów jarmarcznych (budek i straganów). Obroty tych sklepów wynosiły w 1945 r. olbrzymią kwotę 34,330 milionów rubli, a w r. 1946 obroty przekroczą 45 miliardów rubli.

Do spółdzielni i związków należało 35.490 wytwórni, w których w r. 1945 wyprodukowano towarów za przeszło 1,400 milionów rubli.

Spółdzielczość radziecka zbudowana jest na zasadach demokratycznego centralizmu i każde ogniwo, czy to spółdzielnia, czy związki rejonowe, obwodowe, krajowe, republikańskie czy Centrosojuz — jest samodzielną organizacją i osobą prawną. Zasady demokratyczne są w pełni respektowane i wykonywane. Wyrazem atrakcyjności spółdzielni, że potrafi pracą związać się z ludem, świadczy zainteresowanie członków, których zebrania odbywające się co kwartał są przepełnione, frekwencja przekracza 90%.

Wysoki patriotyzm członków i przywiązanie do państwa ujawniło się w czasie wojny. Moskiewski Związek Obwodowy zebrał wśród swych członków 4 miliony rubli na budowę kolumny czołgów. Pracę prowadzono pod hasłem „wszystko dla frontu", „wszystko dla zwycięstwa", tworząc własne zakłady produkcyjne, by wzmóc dostawy dla armii.

Solidarność republik Związku Narodów przejawia się obecnie w tym, że inne republiki, które nie ucierpiały bezpośrednio w czasie wojny, spieszą z pomocą materialną tym republikom, które najwięcej poniosły szkód przez wojnę, a szczególnie dla republiki Ukraińskiej, która zaplanowała wybudowanie nowych 15 tysięcy sklepów spółdzielczych w r. 1947.

Zaznacza się duży rozmach spółdzielni w organizacji obrotu towarowego przy oszczędnej gospodarce i dużej pracowitości.

Widzi się celowość gospodarki planowej i wielki entuzjazm, jaki wytwarza się wokół wykonania planu, który w czasie wojny zapewnił zwycięstwo Wielkiego Związku Narodów, a teraz rozwija gospodarczo i kulturalnie kraj i stopniowo dobrobyt swoich obywateli.

Sprawność organizacyjna, wysoka postawa moralna, zwycięstwo nad faszyzmem w wojnie — stwarza typ człowieka nowego, wierzącego w siebie i w swój Wielki Związek, daje mu niezłomną wolę pokonania wszelkich trudności.

Niewyzyskane bogactwa naszych pól, łąk i lasów

Polska posiada wiele bogactw dotychczas nienależycie wykorzystanych. Jednym z takich nieznanych bogactw są nasze **zioła**, rosnące często dziko, koło których przechodzą obojętnie setki ludzi, nie zastanawiając się nad ich wartością.

Zielarstwo dzieli się na lecznicze, przemysłowe i przyprawowe. Przede wszystkim na zbiór leczniczych i na ich racjonalną uprawę należy zwrócić specjalną uwagę, Zwłaszcza w obecnym okresie powojennym przy braku wszelkich leków, dobrze postawione zielarstwo może mieć kolosalne znaczenie dla zdrowotności kraju.

Zielarstwo ma bardzo szeroki rynek zbytu zarówno wewnątrz kraju jak i zagranicą. W kraju zainteresowane są w kupnie ziół zakłady farmaceutyczne, wytwórnie mieszanek ziołowych, przemysł chemiczny, przetwórnie żywnościowe, przemysł kosmetyczny, garbarski, farbiarski, fabryki konserw, szpitale, apteki, drogerie, itd.

Na rynku zagranicznym zainteresowanie naszymi ziołami jest bardzo duże. Istnieje możność uplasowania się na stałe na rynkach zagranicznych. Szczególnie poszukiwane są zagranicą: kwiat lipy, kwiat bzu czarnego, smardze suszone i pulpy jagód czarnych utrwalonych. Nie potrzeba tutaj chyba dodawać, że za tak u nas nieznane i nieposzanowanie różne „zielska", otrzymać możemy z zagranicy drogocenne waluty, lub takie czy inne maszyny i urządzenia przemysłowe.

Jednakże tak daleko idące ambicje zdobycia przez nasze zioła na stałe zagranicznych rynków zbytu, napotykają na szereg poważnych trudności. Dużych umiejętności trzeba przy zbiorze, a zwłaszcza przy planowej uprawie ziół, następnie przy ich suszeniu, przerobie, magazynowaniu, transporcie, itd. Wystarczy wspomnieć, jak zasadnicze znaczenie ma tutaj problem standaryzacji i opakowania handlowego.

Szczęśliwym przeto się wydaje pomysłem, że skupem ziół zainteresowała się spółdzielczość. „Społem" Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. stworzył w ramach Wydziału Rolniczego specjalny dział handlu ziołami i poprzez szereg swych placówek nawiązał kontakty z licznymi spółdzielniami w terenie, poprzez które następuje skup. Powstał również szereg spółdzielni zielarskich, poświęconych wyłącznie skupowi ziół i ich przeróbce.

Ukazały się już na rynku w estetycznych opakowaniach kartonowych i torebkach (skupione i przerobione przez spółdzielnie) rumianek, kwiat lipy, mięta i dziurawce.

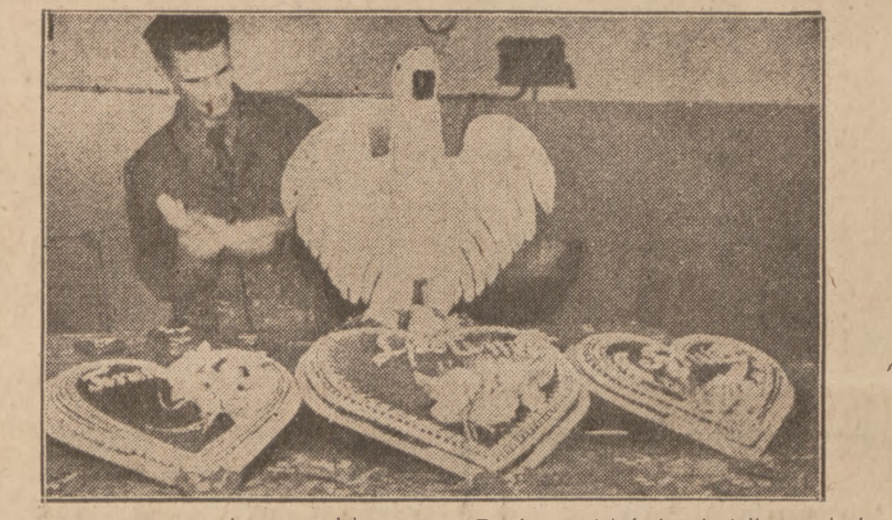
W obecnym stanie rzeczy 70 procent handlu ziołami przechodzi przez spółdzielnie.

W trosce o racjonalny rozwój i stałe podwyższanie poziomu naszego zielarstwa, Związek „Społem" zorganizował począwszy od dnia 17 lutego r. b. w Nałęczowie specjalny 3-tygodniowy kurs fachowy dla pracowników zatrudnionych przy skupie i przeróbce ziół zarówno w placówkach „Społem". jak i spółdzielniach terenowych. Niewątpliwie kurs taki przyczyni się do znacznego polepszenia i rozwoju rynku zielarskiego.

Warto wspomnieć na zakończenie, że dzięki energicznej akcji spółdzielczości w zakresie skupu ziół, w roku 1946 skupiono znacznie więcej ziół na zasadach wolnorynkowych, aniżeli rok przed tym przy bardzo nawet korzystnym premiowaniu skupu ziół.

Pierniki toruńskie spółdzielczego wypieku

Toruń w pamięci każdego zwiedzającego pozostawia niezatarte wrażenia historyczności. Stare potężne mury, przejścia zaułki — to piętno przeszłości, zatrzymane w czasie przez przedmioty martwe. Toruń jednak tradycję swą przechował nie tylko w opisach kronikarskich, podcieniach, krużgankach i murach świątyń. Tradycję i sławę Torunia przekazał nam z powodzeniem piernik — twardy, chrupiący w zębach, oblany lukrową polewą lub porywający oczy barwą ozdobną z lukru.



Najbardziej znana fabryka pierników toruńskich powstała w XVIII w. Znajdowała się ona aż do 1939 r. w rękach niemieckiej rodziny Weese, kiedy to nieczynną już fabrykę wykupiło z rąk Niemca „Społem".

„Społem" poczyniło dużym kosztem inwestycję konieczną do uruchomienia i unowocześnienia produkcji, jednak okupant wyrzucił „Społem" z Torunia, uruchomiona zaś już dużym wysiłkiem fabryka została oddana Weesemu.

Jednak sprawiedliwości stało się zadość i w 1945 roku „Społem" obejmuje fabrykę z powrotem, zniszczoną niestety, przez ustępujących Niemców. Przystępuje natychmiast do remontu urządzeń. Obecnie fabryka obejmuje duży kompleks budynków, dobrze wyposażonych w unowocześnione urządzenia, przystosowane do dużej produkcji. Ogromne zagniatarki i sita mechaniczne wyrabiają masę, która po wielomiesięcznej fermentacji w beczkach, decydującej o smaku i wartości wyrobu, zostaje przerobiona na piernik. „Społem" dba nie tylko o smak, a przede wszystkim o pełną wartość odżywczą produktu, wyrabiając pierniki na czystym pszczelim miodzie.

Trzeba pamiętać, że nie tylko smak decydował o sławie toruńskich pierników, lecz i kształt. Obecnie nie mniej dba się o ich wygląd i ozdobione lukrem „serca" bez trudu znajdują drogę do serc małych i dużych łakomczuszków, a małe rączki pożądliwie wyciągają się do laleczek lśniących słodką polewą.

„Społem" posiada stare historyczne matryce, wyobrażające postaci rycerzy i mieszczan, przechowuje również w gablocie pierniki, których kształt przetrwał wiek i zawieruchy dziejowe.

Czyż nie jest radosnym fakt, że smaczny i wartościowy piernik toruński zawędruje przez sieć spółdzielni do odległych wsi i miast, odżywiając i radując jak najszersze rzesze polskich dzieci?

J. W.

Z placówek wytwórczych „Społem"

MŁYN „KORABKA" W ŁOWICZU

Nazwę swoją otrzymał od dzielnicy, w której istnieje. Zajmuje trzypiętrowy gmach przy ul. Nadburzańskiej nr 27.

Wojna nie oszczędziła młyna, którego urządzenia zostały poważnie zdewastowane. Dzięki pełnej poświęcenia pracy robotników młyn został doprowadzony do stanu użytkowego i już w dniu 4 lutego 1945 roku został uruchomiony.

Urządzenia młyna są przestarzałe, tym nie mniej przerabia on 12 ton zboża na dobę, zatrudniając w chwili obecnej 17 pracowników. Młyn produkuje: mąkę pszenną 80 proc., żytnią 90 proc. i kaszę jęczmienną.

Przez pierwsze dwa miesiące po uruchomieniu młyn pracował bez żadnych dosłownie opłat, dokonując przemiału na rzecz Skarbu dla celów zaopatrzenia armii i potrzeby aprowizacyjne powiatu. Przez pozostałe miesiące 1945 r. młyn „Korabka" pracował wyłącznie na potrzeby aprowizacyjne przy zastosowaniu najniższych stawek przemiałowych. Z tego względu młyn w tym roku wykazał niewielkie obroty, nie dając w rezultacie żadnych dochodów. Dopiero w roku ubiegłym młyn osiągnął obroty w kwocie 15 milionów złotych, przynosząc około 500.000 złotych dochodu.

Jest to jedyny młyn spółdzielczy w powiecie, który w niedalekiej już przyszłości może mieć szerokie możliwości rozwojowe.

Kierownikiem młyna „Korabka" jest p. Henryk Worek, który mimo młodego wieku, już od lat 8-miu pracuje w spółdzielczości i uważany jest powszechnie za wychowanka „Społem". (a)

Tydzień dobrej gospodyni





Sukienka z wełny, ozdobiona kieszeniami, zlekka drapowana w pasie, ma efektowne zakończenie z dwóch chwastów. Ślicznie wygląda na młodej, szczupłej osobie.

Ładny, wygodny szlafroczek z materiału w kwiaty — kołnierz pikowany, całość zapinana na dwa guziki, dość duży klosz.

*

Podajemy dziś naszym Czytelniczkom przepisy na dzień „mięsny" i dzień t. zw. „chudy", gdy obmyślenie obiadu sprawia niemały kłopot ze względu na pana domu, który zazwyczaj pogardliwie traktuje wszelkie kartoflane kotlety, kaszki i kluseczki, a woli niewątpliwie duży wieprzowy kotlet lub soczysty befsztyk. Ale trudno — „głodówka" dobrze działa na przemianę materii. Wobec tego podajemy przepis na dobre:

RACUSZKI

które, podane z konfiturą smakować będą nawet „brzydkiej płci". A więc — rozprowadzamy 2 dkg. drożdży w letnim mleku. Na ½ litra mleka lub wody wsypujemy tyle mąki aby ciasto było rzadkie. Dobrze mieszamy. Dodajemy do ciasta drożdże, 2 całe jajka (poprzednio rozkłócone) 1 łyżkę cukru, 1 łyżkę masła, szczyptę soli i stawiamy ciasto w cieple, żeby wyrosło. Gdy wyrośnie, nabieramy ciasto dużą łyżką i kładziemy na patelnię, smażąc okrągłe placuszki na smalcu lub oleju.

ROZBRATLE ZWIJANE

Mięso — „zrazówkę" — ubijamy cienko posypujemy solą i pieprzem, po czym nakładamy na nie seler, marchewkę, pietruszkę, krojone w paski. Następnie zwijamy rozbratle w ruloniki, obwiązujemy nitką i dusimy pod przykryciem, podlewając skąpo wodą. Dusimy około godziny, następnie wrzucamy kilka pokrajanych ziemniaków, zalewamy śmietaną, zaprawioną odrobiną mąki i dusimy jeszcze 15 — 20 minut. Przed podaniem zdejmujemy nici i układamy na półmisku.

W OKRESIE KRYZYSU MIESZKANIOWEGO



— Panie! Panie! Jaki jest pański adres, bo zajmę pańskie mieszkanie.



— Wiesz, możemy się już pobrać. Zarabiam 10.000 zł.

— A z czego ty będziesz żył?

TRZECI KONKURS „TYGODNIA" NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

W numerze 3 (27) ogłosiliśmy III konkurs „Tygodnia", na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników wprowadzamy nagrody książkowe.

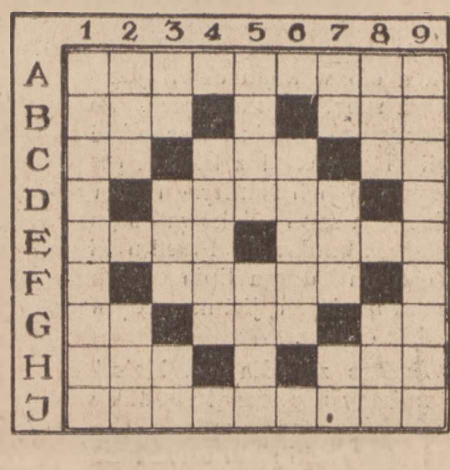
Jako nagrody Redakcja przeznacza:

30 nagród książkowych,
20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązania każdego zadania, przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 1 kwietnia br. do Red. „Tygodnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

Krzyżówka

Ul. Ludwik Jasiński



Znaczenie wyrazów: Poziome: A 1. Żółwie wyspy. B. 1. Okres czasu. B. 7. m. w Baczce. nad rzeką Cisą. C. 1. Wykrzyknik: bierz. C. 4. Drzewo z rodziny baziowych. C. 8. Symbol chem. pierw. glinu. D. 3. Sposób mówienia z przesadą. E. 1. Dawniej srebrna moneta zdawkowa w Hiszpanii. E. 6. U staroż. Greków uroczysta pieśń na cześć bogów. F. 3. Przestrzeń ziemi. G. 1. Zaimek. G. 4. Zwierzę ssące z rzędu parzystokopytowych. G. 8. Inicjały autora powieści „Anioł śmierci". H. 1. Prawy dopływ Wisły. H. 7. Stara złota moneta japońska. I. 1. Przyrządzik fizyczny w postaci lekkiego wiatraczka.

Pionowe: 1. A. Przyrząd, w którym wytwarza się gaz, para. 8 A. Gatunek papugi 2. G. Skrót nazwy Stanów Zjednoczonych. 3. A. Nuta. 3. D. Termin szachowy. 3. H. Łac.: roku Pańskiego. 4. C. Utwór sceniczny, wyrażony przez mimikę i tańce. 5. A. L. dopływ Dunaju. 5. F. Skóra owcza pokryta wełną. 6. C. Roślina ogrodowa. 7. A. Symbol chem. pierw. galu. 7. D. Japońska moneta bronzowa. 7. H. Nuta. 8. A. Utwór poetycki. 8. G. Lepiszcze, spoiwo. 9. A. Żupnik solny.



ul. R. Miałkowski

NA SCENACH POLSKICH

Stulecie „Halki“

W dniu 25 stycznia scena Muzyczno-Operowa w Warszawie wystąpiła z premierą opery Moniuszki — „Halka“.

*

W styczniu 1847 r. młody, bo zaledwie 27-letni, Stanisław Moniuszko ukończył



KAZIMIERZ POREDA w roli Stolnika stworzył znakomity typ polonusa

pracę nad operą, która zjednała mu głęboką miłość całego narodu, miłość trwałą jak trwałą jest popularność i sława „Halki“.

Po raz pierwszy „Halka“ była wystawiona w dniu 1 stycznia 1848 r. w Wilnie. Była to jednak nieco inna „Halka“ niż ta, jaką znamy.

Libretto „Halki“ napisał mało już dziś znany poeta Włodzimierz Wolski, który podzielił je na dwa akty, a Moniuszko ze względów muzycznych podzielił całość na 12 części.

W dziesięć lat potem „Halka“ entuzjazmowała Warszawę. W ciągu tych dziesięciu lat Moniuszko dojrzał jako twórca. Widział braki swego utworu. Na wieść, że „Halka“ ma być wystawiona w Warszawie razem z Wolskim przystępuje do ponownego jej opracowania.

Warszawa zobaczyła już „Halkę“ w czterech aktach z nowymi partiami wokalnymi i muzycznymi. W redakcji „wileńskiej“ w „Halce“ nie było takich arii, jak Halki — „Gdyby rannym słonkiem“, Jontka — „Szumią jodły“, Janusza: — „Czemuż mi w chwilach“, poloneza Cześnika, tańców góralskich, wreszcie „Mazura“. Uboga była „Halka“ wileńska.

Przerobiona i rozbudowana „Halka“ w znanej już nam formie została po raz pierwszy wystawiona w Warszawie na scenie Teatru Wielkiego w dniu 1 stycznia 1858 roku. Styczeń — miesiąc... „wróżebny“ „Halki“.

Treść „Halki“ nie jest oryginalna. Wolski treść do swego libretta zaczerpnął z obrazu dramatycznego p. t. „Góralka“ ze zbioru „Starych Gawęd“ K. Wójcickiego. Pisał o tym Z. Jachimecki.

„Halka“ należy do najbardziej ulubionych oper rodzimych.

Muzyka tej opery zapada głęboko w polskie serca. Cieszy się również wielką sympatią innych narodów słowiańskich.

Za życia Moniuszki Opera Warszawska wystawiła „Halkę“ sto pięćdziesiąt razy. Sukces utworu zapewnił jej twórcy stałą posadę dyrygenta opery stołecznej. Od tego czasu Moniuszko nie opuszczał Warszawy do końca życia. Zmarł w Warszawie przed 75 laty, pozostawiając po sobie szczery żal współczesnych, zasłużoną sławę, kilka oper, które w polskim społeczeństwie cieszą się nieprzemijającym powodzeniem i 270 pieśni ludowych. „Halka“ w Teatrze Wielkim w Warszawie grana była ponad tysiąc razy. Był to sukces nie notowany nigdy przedtem ani potem na polskich scenach.

*

Warszawska Scena Muzyczno-Operowa wystawiła „Halkę“ z całym pietyzmem, na jaki było ją stać w naszych dzisiejszych skromnych warunkach stołecznych. Pomimo ograniczonych możliwości małej sceny i ograniczonych środków technicznych przedstawienie pozostawia jak najlepsze wrażenie. Prasa stołeczna zgodnie przyznaje, że wystawienie „Halki“ cechuje sumienność i pietyzm.

Jest ono osobistym sukcesem St. Cegielskiego, jako reżysera i inscenizatora, wielkim aktorskim popisem K. Poredy w roli stolnika, a K. Madeyskiej i K. Brenoczy w rolach Halki i Zofii.

Dyrygował jak zawsze czysto i wnikliwje T. Mazurkiewicz.

Dobrze się stało, że w stulecie „Halki“ została ona ponownie przypomniana mieszkańcom Warszawy, spośród których przecież wielu nigdy jej na scenie jeszcze nie widziało.

L. R-ch.



„Halka“ należy do najbardziej ulubionych oper rodzimych. W Teatrze Wielkim w Warszawie grana była ponad tysiąc razy

KRONIKA KULTURALNA

NIEPOSTRZEŻENIE w prasie polskiej minęła 110-ta rocznica śmierci Puszkina († 29 stycznia 1837). Wprawdzie nie jest to data okrągła jak półwiecze czy stulecie, wszelako prasa mogłaby ją odnotować, przynajmniej specjalne pisma literacko-kulturalne, np. „Kuźnica“ czy „Odrodzenie“. Jak dotychczas w pismach tych o Puszkinie głucho. Zdaje się, że jeden tylko skromny „Kurier popularny“, organ PPS w Łodzi, zainteresował się Puszkinem i ogłosił o nim w Nr 32-461 artykuł Grzegorza Timofiejewa p. t. „Losy i twórczość geniusza pod panowaniem koronowanych despotów“.

Nie tak to było dziesięć lat temu, w r. 1937 gdy cała literacka Europa obchodziła setną rocznicę śmierci wielkiego poety Słowiańszczyzny, drugiego z kolei po Mickiewiczu, o którym to sam Puszkin złożył był następujące świadectwo:: „Quel genie, quel feu sacré! Que moi suis-je aprés de lui!“ (Co za geniusz, jakiż ogień święty! Czymże ja jestem wobec niego!“). W r. 1937 Polska, wśród całej Europy Zachodniej, zajęła, rzec można, pierwsze miejsce w uczczeniu pamięci i wielkości Puszkina. Była to głównie zasługa Wacława Lednickiego, podówczas profesora rusycystyki w Uniwersytecie Jagiellońskim. Jego staraniem, a nakładem Polskiego Towarzystwa dla Badań Europy Wschodniej, wyszło ogromne dwutomowe dzieło zbiorowe p. t. „Puszkin“, zawierające mnóstwo materiału o Puszkinie, w znacznej części źródłowego i wręcz rewelacyjnego.

Pozwolę sobie na tym miejscu zacytować urywek ze szkicu o Puszkinie, jaki napisałem podówczas pod nazwiskiem Jerzego Wyszomirskiego w „Kurierze Powszechnym“. Szkic nosił tytuł: „Nieuporządkowane myśi o Puszkinie“. Oto urywek: „Młode pokolenie polskie, kształcone w polskich szkołach, prawdopodobnie nie czytał wcale Puszkina. W naszych szkołach nie wykłada się w ogóle systematycznie literatur obcych, tym bardziej rosyjskiej. Młoda inteligencja polska pochłania przekłady z sowieckiej literatury, zna Szołochowa, Nowikowa-Priboja, Pilniaka i Erenburga, Pantelejmona, Romanowa i Zoszczenkę, ale nie zna już klasyków rosyjskich... Dla młodego pokolenia poetów polskich poezja rosyjska zaczyna się od Majakowskiego i Jesienina: ich wpływ na naszych poetów społecznych i rewolucyjnych był znaczny, nawet nadmierny, nieprzemyślany i niewolniczy. A jednak Jesienin, ze swym odczuciem krajobrazu rosyjskiego i jego zmienności, zależnie od pór roku, zwłaszcza jesieni — nie istniałby bez Puszkina... Co do mnie, mówię z miłością: mój Puszkin. I byłbym szczęśliwy, gdyby Francuz, Włoch, Niemiec czy Rojanin mówił: mój Mickiewicz — albo: mój Słowacki“.

ROK UBIEGŁY, który był rokiem jubileuszowym Sienkiewicza, pozwolił wielu domorosłym krytykom na popisywanie się swą erudycją: a w „Trylogii“ to i to sfałszowane; a „Quo vadis“ jest ckliwo-karmelkowe; a „Rodzina Połanieckch“ to powieść drobnomieszczańska — i t. p. Dr. St. Mielech pozazdrościł tym krytykom laurów i zabrał się ostatnio do Sienkiewicza („Dziennik Polski“ Nr 6/690 z dn.7.I) w artykule p. t. „Kibic“ z punktu widzenia „sportu“. Dr Mielech stwierdza mianowicie, że o pojedynkach Sienkiewicz miał „dziwne pojęcie“. Twierdzenie swoje wzmacnia następującymi cytatami z „Trylogii“: „Ja cię owym **wiatraczkiem** zażyję, który w Łubniach jeszcze wykoncypowałem... W tej chwili zaszumiał straszliwy **młyniec**“. Co twierdziwszy dr Mielech wyrokuje: „Od czasów Don Quichota wiatraki w walce na białą broń są gruntownie ośmieszone... Boli to sportowca, że się tak pisze o szermierce w Polsce“ Gdyby dr Mielech zanim go ból chwycił zajrzał był do Lindego i Karłowicza, dowiedziałby się, co nazywano w szermierce polskiej młyńcem i wiatraczkiem. Ale dr Mielech za jednym zamachem dyskwalifikuje i Reymonta jako „pisarza sportowego“. Pisze bowiem: „W „Chłopach“ walkarze chwytają się za orzydła i wodzą jak jastrzębie. Puść! — chciałoby się wołać: puść pan panie Reymont, wstydu oszczędź.Tak wygląda sport w wielkiej literaturze“. Orzydlę, panie doktorze, to znaczy kołnierz, klapy na piersiach. Chłop, zwłaszcza pijany, inaczej nie chwyci przeciwnka jak za podgardle. Gdyby pan mu się napatoczył, chwyciłby pana tak samo.

St. Łatka.

ZWYCIĘSTWO ŻOŁNIERZA – KOMPROMITACJA WODZA

(Dokończenie ze str. 7)

nieć. Z oficerów został tylko jeden kpt. Leśkiewicz. Rozejrzał się po leżących żołnierzach, rozejrzał się po ich bezbarwnych twarzach, bladych oczach, w których malowała się cała małość upadłego ducha i ogarnęła go rozpacz. Przecież to nie ten sam żołnierz, którego dopiero przed kilku godzinami pełnego zapału prowadził w szybkich skokach na Niemców. Ten żołnierz szedł do ataku z wolą zwycięstwa, a teraz znajduje się już pod wrażeniem klęski.

I w tej rozpaczy, chcąc bodaj na chwilę poderwać moralnie żołnierzy w pełnym nadziei oczekiwaniu na posiłki, lub na amunicję, zaintonował z pełnej piersi:

— Jeszcze Polska nie zginęła...

Podchwycił skoczną melodię pierwszy, drugi i następni i za chwilę hymn polski rozlegał się na stoku, na przedpolu bunkrów niemieckich, w trzasku automatów i w huku rozrywających się pocisków.

NA BAGNETY

Gdy ostatnie takty brzmiały jeszcze ponad stokiem, ogień niemiecki jakby się zawahał na chwilę. Czyżby poprzez huk i trzask wystrzałów echo teraz dopiero doniosło pieśń do bunkrów?

To wahanie się ognia niemieckiego trwało jeszcze, gdy przebrzmiały ostatnie słowa melodii. I teraz kpt. Leśkiewicz, zdecydowany na wszystko, wobec beznadziejności sytuacji, poderwał resztki kompanii do wściekłego ataku na bagnety.

Podniecony hymnem żołnierz ruszył przed siebie jak huragan, niepomny na nic. I bez odpoczynku, w kilku skokach znalazł się przed pierwszym bunkrem niemieckim i ze zdziwieniem patrzył, jak Niemcy wychodzili z niego chyłkiem jeden za drugim i poddawali się, podnosząc ręce do góry.

Zaśmiało się wszystko w duszy żołnierza w szalonej radości. Ot tam w dole leżał, czekając pomocy, lub litościwej kuli, która wybawiłaby go z opresji, w jakiej się znalazł, a oto w kilka chwil już jest znowu sobą, jest zwycięzcą. Bo już i z drugiego bunkra wychodzić zaczęli Niemcy. I z trzeciego.

Zgarnęli ich żołnierze razem do jednego, a sami ulokowali się w pozostałych bunkrach. Przed nimi plułą ogniem druga linia bunkrów, ale oni nie leżeli już na pustym stoku, bez osłony.

Wkrótce zapadła noc. Mało który z żołnierzy zdrzemnął się, tak wielkie było jeszcze napięcie, choć ogień niemiecki słabł coraz bardziej.

Gdy rankiem trzeciego dnia bitwy o Monte Cassino żołnierz polski wychylił się z niemieckiego bunkra uderzyła go niesamowita cisza. Ani jeden strzał nie padł z niemieckich pozycji. Zwiad wrócił z meldunkiem, że nigdzie nie ma żywej duszy. Niemcy, zdając sobie sprawę, że zostaną otoczeni przez postępy wojsk polskich i sojuszniczych na skrzydłach, opuścili w nocy pozycje i wycofali się.

Bitwa o Monte Cassino, jedna z najbardziej krwawych ostatniej wojny była niepotrzebną ofiarą krwi żołnierza polskiego. Była jedynie potrzebna wodzowi w jego ambitnej drodze do kariery.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka“, Warszawa, Smolna 12
Okładkę wykonano w Zakładach Graficznych „Społem“, Łódź, ul. Andrzeja Struga 63. B-19710

MODA
POPRZEZ HISTORIĘ

Izabella Katolicka była tak cnotliwa, że nie chciała, ażeby przez ubranie można było dostrzec jej kształty, toteż zaczęła nosić suknie dosyć dziwnego kroju, sztywne i proste, rozszerzające się ku dołowi, że niczym stożek przesuwała się po komnatach zamkowych.

Ten styl, lansowany przez Izabellę Kastylską, stworzył pewien kierunek mody, który podczas panowania Karola V rozprzestrzenił się w Europie, wszędzie tam, gdzie rządzili Habsburgowie . A była to moda brokatowych sukien, o wąskich rękawach z małymi bufkami na ramionach, moda czarnych aksamitnych zarzutek, czarnych płaskich kapeluszy z małymi piórkami i białych krezek dokoła szyi. Kobiety tak ubrane wyglądały sztywno i uroczyście, czarno-biało, w najwyższym stopniu nienaturalnie. Takie je zapamiętali Fernando Cortez, Vasco de Gama, Affonso d'Albuquerque, Tristao da Cunha i Pedro de Mascarenhas, gdy wyruszali w świat na zdobycie nowych lądów.



Montezuma.



Fernando Cortez.



Dama hiszpańska.



Kochanka Corteza.

8-ego listopada 1519 r. Fernando Cortez zdobył stolicę Azteków i wziął do niewoli Montezumę. Na przeciw rycerza w czarnej aksamitnej jace, zakończonej białą krezką u szyi, w podwójnym pancerzu, spodnim z siatki i wierzchnim, zrobionym z metalowych płytek, stanął półnagi, czerwonoskóry wojownik królewskiego rodu, w złotym diademie z pękiem kolorowych piór na głowie, z złotymi bransoletami na rękach i nogach, w bezcennym naszyjniku, spadającym na piersi i z lancą o złotym grocie w ręce. A w niejaki czas po tym wydarzeniu zjawia się u boku Corteza owa bezimienna kobieta aztecka, której obraz zachował się na malowidle indyjskim tzw. „Lienzo", ilustrującym czyny zdobywców Meksyku. Bosa, z rozpuszczonymi włosami, w luźnej, zielonej, w lilie tkanej, szacie jest ta kobieta — czcząca boga Huizitopoxtli, któremu składano krwawe ofiary z jeńców wojennych — najbardziej jak tylko możliwe, niepodobna do wielkich dam hiszpańskich.

Na przeciw czarno-aksamitnych, opancerzonych Hiszpanów wyszła ta dzika kolorowość aztecka, a musiała mieć urok nie tylko dla wodza wyprawy — Fernanda Corteza — skoro dziś ludność Meksyku składa się w więcej niż połowie z metysów, mieszkańców, zrodzonych ze spotkania czerwonoskórych z białymi zdobywcami, którzy czterysta lat temu wylądowali przy ujściu Tobasco, poczym spalili okręty i ruszyli w głąb kraju.

Jadwiga Żylińska

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał burmistrz m. Otwocka Jan Jobda (Otwock, Zarząd Miejski) za rozlepienie na murach swego grodu następującego „Zarządzenia":

Otwock, dn. 12 grudnia 1946 r.
Komisja Klimatyczna
Uzdrowiska Otwocka

ZARZĄDZENIE

Komisja Klimatyczna w uzupełnienie (?) poprzednich swoich zarządzeń ponownie podaje do publicznej wiadomości, że w celu utrzymania na terenie miasta i uzdrowiska Otwocka należytej czystości, porządku i warunków zdrowotnych... zarówno w m. i uzdr. Otwocku jak i pasie ochrony sanitarnej nie wolno prowadzić żadnych robót, które mogą wywrzeć szkodliwy wpływ na sanitarne warunki uzdrowiska, a w szczególności:

a) wznosić nowych budowli,

b) otwierać fabryk i zakładów przemysłowych a także przedsiębiorstw handlowych i komunikacyjnych,

c) urządzać kanalizacji, wodociągów, studzień, dołów itp...

Podpisane: **Przewodniczący Komisji Klimat. Burmistrz Jan Jobda.**

Nareszcie świat się dowiedział, co wywiera szkodliwy wpływ na czystość, porządek i zdrowotność miast.

KOMPLEKS BANDYTYZMU

W Nr 5/29 „Tygodnia" z dn. 2.II. w rubryce „Skleroza" przytaczaliśmy wiadomość z „Expressu Wieczornego" Nr 11/231) o tym, że „senator republikański Stassen wymieniany jest jako jeden z bandytów na prezydenta USA.". Teraz znowu „Dziennik Bałtycki" (Nr 7 z dn. 9.1) komunikuje:

Przy Państwowym Liceum Pedagogicznym w Słupsku został uruchomiony sześciomiesięczny kurs pedagogiczny. Napływ bandytów trwa. Sądzić należy, że kurs dostarczy latem większą ilość młodych nauczycieli, którzy przystąpią do pracy w szkołach.

Gdy ci młodzi bandyci skończą kurs i pójdą do szkół jako nauczyciele, wychowywać poczną z kolei narybek bandycki. Co to będzie, co to będzie? Wszędzie bandyci. Świat się kończy.

TO CI OPERA

Oto jak wygląda jeden z punktów programu radiowego rozgłośni wrocławskiej z dn. 31 grudnia r. ub. wedle „Słowa Polskiego" (Nr 1 z dn. 1.I.1947):

19.00. Audycja z Teatru Wielkiego w Poznaniu opery Montgommery'ego „Rycerskość wieśniacza i pajac".

20.40. Dalszy ciąg transmisji opery „Rycerskość wieśniacza i pajac".

Był Mascagni i w r. 1890 skomponował operę pt. „Rycerskość wieśniacza" („Cavalleria rusticana"). Był Leoncavallo i w r. 1892 napisał operę „Pajace" („I Pagliacci"). Przyszedł wojownik, pociął, porąbał, poćwiartował obydwie opery. Radio Polskie i Słowo Polskie, w ofiarnej pracy nad podniesieniem kultury, zdewastowanej straszliwie przez wojnę, ocaliło szczątki obu oper, zrekonstruowało je w harmonijną całość i, aby na wieki napiętnować barbarzyńcę wojennego, nadało dziełu jego imię. Cześć cichym pracownikom kultury! Hańba Hunom XX wieku!

Anegdoty historyczne



BOHATERSKI GONIEC

W kwietniu r. 1809 marszałek Lannes (1769—1809) zdobywa nareszcie na Austriakach Ratysbonę, po zaciętej walce. Jego adiutant, aczkolwiek śmiertelnie ranny, pędzi co koń wyskoczy w okolice miasta na wzgórze, gdzie przebywał Napoleon w otoczeniu sztabu. Zsiadłszy z konia, w zakrwawionym mundurze, chwiejąc się na nogach, pręży się przed cesarzem ostatnim przedśmiertnym wysiłkiem woli i melduje

— Najjaśniejszy panie, Ratysbona zdobyta! Nasze sztandary powiewają na murach miasta! Nasze orły...

— Ależ pan jest ranny — przerywa mu Napoleon.

— Nie, najjaśniejszy panie, jestem zabity — odpowiada bohaterski goniec i pada, umierając z ran ciężkich, z wysiłku i wielkiego wzruszenia.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



AUSTRIA. — Z racji 950-lecia Austrii, a właściwie powstania Marchii Wschodniej, Ministerstwo Poczt wypuściło znaczek o nominale 30 + 70 gr w kolorze brunatnoczerwonym.

Z dopłatą na rzecz odbudowy katedry św. Stefana w Wiedniu ukazała się seria, składająca się z dziesięciu wartości, z widokami tego kościoła i fragmentami wnętrz: 3 + 12 gr (brunatny), 5 + 20 gr (brunatnofioletowy), 6 + 24 gr (ciemnofioletowy), 8 + 32 gr (zielony), 10 + 40 gr (niebieski), 12 + 48 gr (fioletowy), 30 gr + 1,20 sz (karminowy), 50 gr + 1.80 sz (niebieski), 1 + 5 sz (ciemnoczerwonolila) i 2 + 10 sz (ciemnolilabrunatny).

UNIA POŁUDNIOWO-AFRYKAŃSKA. — Z okazji wizyty króla Jerzego VI w Afryce Południowej ukazały się w tym miesiącu trzy specjalne znaczki. Na znaczku jednopensowym (czerwonym), widzimy króla, na dwupensowym (fioletowym) — króla z królową Elżbietą, — a na trzypensowym (niebieskim) — królewny: Małgorzatę i Elżbietę.

(wo).

Reprodukowany znaczek otrzymaliśmy z Biura Filatelistycznego T. Gryżewski (Łódź, ul. Piotrkowska 47).

W londyńskim zoo

Felietonista w „Punchu“ opowiada, że turyści w Afryce wypłaszają lwy: za dnia hałaśliwymi rozmowami, a nocą muzyką patefonową przy ogniskach campingowych. Toteż co raz częściej mnożą się wypadki, że lwy idą po parę mil trop w trop za tu-



Złocisty orzeł.

rystami, w nadziei, że zostaną schwytane i resztę swego życia będą mogły przepędzić spokojnie, pozując publiczności brytyjskiej w Zoo.

Nie możemy dziwić się lwom, że marzą o zamieszkaniu w londyńskim Zoo, jednym z najwspanialszych zwierzyń-



Białe kozły na wybiegu w londyńskim ZOO w Regent's Park.

ców na świecie, którego cała fauna jest otoczona pielęgnacją i specjalną miłością.

Zoo w Londynie został otwarty w roku 1828 na terenach Regent's Parku, gdzie zajmował 5 akrów. W sto lat później, zwierzyniec rozpościerał się na 34 akrach, a zamieszkały był przez 1000 ssaków, 2000 ptaków i 1000 gadów.

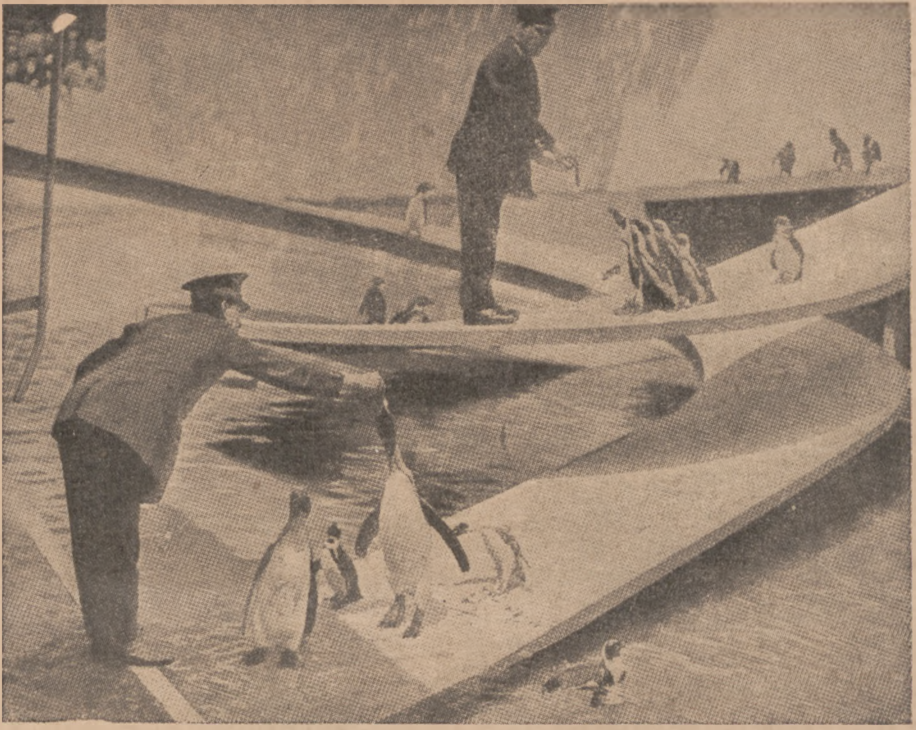
Wybuch wojny postawił przed Dyrekcją Zoo szereg problemów do rozwiązania, z których kwestia wyżywienia okazów wysunęła się na plan pierwszy. Część zwierząt została wysłana poza Londyn, jadowite węże zabito, zwierzęta domowe oddano na użytek publiczny, a pewną ilość ssaków przeznaczono na ubój, dla wyżywienia innych, które postanowiono utrzymywać.

Rabaty kwiatowe na terenach Zoo ustąpiły miejsca zagonom z warzywami. Wiele zwierząt przeszło na nową dietę: ptaki dotychczas karmione bananami, poznały po raz pierwszy w życiu smak buraków, a inne, rybożerne przeszły na siekaną koninę, zaprawioną tłuszczem ze stokfisza.

Mimo wielkich zmian i ograniczeń utrzymanie Zoo w warunkach wojennych było rzeczą niesłychanie trudną i kosztowną. Toteż w pewnym momencie Dyrekcja zwróciła się z apelem o pomoc do publiczności londyńskiej. W odpowiedzi na to wezwanie, posypały się oferty od szkół, instytucji i osób prywatnych, gotowych zaadoptować — na okres wojny — poszczególnych ulubieńców. W ten sposób czterystu mieszkańców Zoo przeszło — dzięki tzw. „Wartime Adoption scheme“ na utrzymanie publiczności. Zaadaptować można było każdego wychowanka Zoo — począwszy od chomika, skończywszy na słoniu.

Wobec tego, że Zoo było otwarte przez cały okres wojenny, dyrekcja musiała się zająć kwestią zabezpieczenia publiczności na wypadek bombardowania. Na terenach Ogrodu Zoologicznego pobudowano 11 schronów, mogących pomieścić 2000 osób, a specjalna straż została wyszkolona na nieprzewidziane wypadki niebezpieczeństwa.

Wszystkie te przygotowania okazały się wkrótce konieczne. Podczas bombardowań Londynu, Niemcy zrzucili na teren Zoo 17 bomb burzących i 200 zapalających. „Zebra House“ (Dom dla zebr) został trafiony, inna bomba padła w pobliżu klatki z małpami. Gdy strażnik z A. R. P. przybiegł do „Domu małp“, w jednej klatce paliła się już słoma, któremu to widowisku małpy — nieświadome niebezpieczeństwa — przyglądały się z wielkim zainteresowaniem.



Pora obiadowa pingwinów.



Niedźwiadek „pandy“.

Pewnego razu bomba burząca padła pomiędzy „Dom lwów“ i klatkę z olbrzymim „pandy“ Mingiem ulubieńcem publiczności,który zresztą nie przeżył tej wojny.

Wreszcie nadszedł Dzień Zwycięstwa. Dyrekcja Zoo przystąpiła do obliczenia swoich strat. Klatki, mury, ogrodzenia wymagały odbudowy lub remontu. Prawie połowy zwierząt brakowało. Ze wszystkich mieszkańców pozostało 500 ssaków, 900 ptaków i około 100 gadów.

Naczelna Rada Zoo zabrała się od razu do roboty. Pierwszy transport zwierząt w liczbie 76 sztuk — przybył jeszcze tego samego roku jesienią. Kurator Zoo Mr. Webb wyjechał do Kenii po hipopotamy, żyrafy, antylopy. Mr. W. E. J. Frost udał się do Indii po lamparty. Mr. A.G. Bennet wyruszył na wyspy Falkland po pingwiny. Prywatne osoby wystąpiły z cennymi darami: maharadża Nepalu ofiarował parę nosorożców, a Mr. Al-Fred Ezra obiecał z Indii dwa ujeżdżone słonie.

Ale najmilszy podarunek stanowi nowa „pandy“ ofiarowana — dzięki interwencji pani Czang-Kai-Szek — przez rząd chiński na miejsce dawnego ulubieńca Minga. Jednocześnie hodowla nowego pokolenia zwierząt wraca do swojej przedwojennej normy. Londyńskie Zoo podejmuje z powrotem swoją tradycyjną rolę, w której spełnia podwójną funkcję: ulubionej rozrywki i poglądowej lekcji zoologii.

(Jo)



W pierwszy poranek niedzielny po swoim przybyciu do Londynu „pandy“ zapoznaje się z dziećmi odwiedzającymi ZOO.